Rok II. Lwów, w lipcu 1900. Nr. 7.

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC.

PRENUMERATA WYNOSI

rocznie K. 3.20, z przesyłką 3.68; kwartalnie 80 h., z przesyłką 92 h. — Numer pojedynczy 30 h., na prowincyi 32 h. W zaborze pruskim i w Niemczech rocznie 3 marki 40 fen. — W zaborze rosyjskim 4 ruble. — W innych krajach należących do związku pocztowego, rocznie 4 franki 20 centimów.

Adres Redakcyi: (Do 15. IX.) Weinfeld Leon, ul. Chrzanowskiej Zofii l. 6. Lwów, Filia Administracyi w Krakowie przy pl. Dominikańskim l. 2.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały." *Krasiński.*

Od Redakcyi!

Z numerem niniejszym kończymy drugi rok wydawania naszego pisma. Nie możemy powiedzieć by praca, którą podjęliśmy z zamiarem obudzenia szerokich mas młodzieży i wskazania jej dalszych przestrzeni, niż te, które dotąd obejmowała, by praca ta nie wydała zupełnie owoców. Owszem, mamy jasne dowody, że ziarno rzucone na tę glebę na pozór tak jałową i nie przystosowaną do warunków nowego życia, wydaje plony, użyźnia się, obiecując jeszcze więcej na przyszłość.

Myśli przewodnie, które rzuciliśmy w pierwszym numerze pisma, znalazły oddźwięk i entuzyazm wśród młodzieży. Dowodem tego liczne listy, korespondencye, prace nadsyłane do naszej Redakcyi od chwili ukazania się »Promienia«. Wprawdzie zastępy te są nieliczne, ci, którzy się do nich liczą, stanowią znaczną, bardzo znaczną mniejszość młodzieży, ale szeregi tej »lewicy« młodych pokoleń stale rosną i pozwalają wierzyć, że przyjdzie chwila, w której będą nas tysiące! Ruch umysłowy i organizacyjny wyższe napięcie, podniesienie poziomu uczuć specyalnie wśród młodzieży galicyjskiej przemawiają za tem.

Komu zaś choć trochę znane stosunki wśród tej młodzieży, kto wie czem ją dotąd karmiono i czem ona siebie karmiła, jakie wytyczne szlaki widniały przed nią w życiu — ten pojmie, że podjęcie pracy wśród takich warunków [illegible] lewicy całemu dotąd byłemu »programowi« młodych — nie było rzeczą łatwą.

Należałoby zacząć umiejętnie rachować się z psychologią, a nawet z zakorzenionemi uprzedzeniami tych wyrabiających się, przyszłych warstw społeczeństwa. A było to tem trudniej, że cel był podwójny: obudzić i popchnąć masy młodzieży do życia — powtóre nauczyć i wyrobić ją do tego stopnia, by ona sama to życie stwarzała. Innemi słowy należało ją nie tylko uczynić zdolną do p r o w a d z e n i a, ale przedewszystkiem by sama potrafiła p r o w a d z i ć.

Jak już mówiliśmy praca ta nie została bez wyniku.

Jak długo pismo musiało przedewszystkiem przebić skorupę bezmyślności, apatyi, karyery, która gniotła młodzież w Galicyi — sferą działania była Galicya. Kiedy jednak »Promień« zaczął przenikać za kordony musiał zająć się, a więc przemawiać do młodzieży polskiej wszystkich dzielnic i budzić, rewolucyonizować młode umysły na obszarze całej Polski.

Zarzucano nam nieraz nawet ze strony młodzieży, że chcemy gwałtem »robić socyalistów« z naszych czytelników, że tendencyjnie zabarwiamy pismo, chcąc mu nadać pewien kierunek partyjny. Zwracano uwagę, że taki charakter pisma odstręczy znaczną część czytających. Na zarzut ten odpowiedziala Redakcya przy sposobności pierwszej. która się zdarzyła. Tu nie mamy ani zamiaru, ani ochoty o nim mówić. Powiemy tylko, że niejako **ideałem** skutków naszej pracy w »Promieniu« byłoby wytworzenie wśród młodzieży jak najwięcej jednostek pełnych energii, życia i poświęcenia — świadomych celu i dążących do niego z **żelazną nieugiętością**. Chcemy wytworzyć jak najwięcej **ludzi czynu**.

Oto jest tendencya — o to jest partyjność »Promienia«. Żyjemy w czasie, w którym jak przed burzą nagromadziło się parne, ciężkie i przygniatające powietrze. Kiedy i skąd burza się zbliża wiedzieć nie można. Ale przygotować do niej ludzi i postarać się, by gruntowniej i radykalniej się powietrze po niej oczyściło, to jest — obowiązkiem.

Nie przeczymy, że za jedyny środek do wyrobienia jednostek uważamy i uważać będziemy przedewszystkiem: **pracę i wykształcenie społeczne**. Tylko bowiem w tej dziedzinie młody człowiek może znaleźć podstawy, na których się opiera nie fałszowany, nie egoistyczny pogląd na świat i życie tu tylko wyrobić sobie może krytycyzm i energię do usunięcia i zwalniania złego — które mu wskażą wykształcenie, świadomość i praca społeczna. Na tych podstawach wyrabiają się ludzie charakteru, nie manekiny.

Dlatego też i teraz — kiedy tylu z was koledzy opuszcza ciasne sale szkolne, kiedy tylu rozbiegnie się i rozprószy po całym kraju — przypominamy Wam tę pracę. Każdy działać i pracować może wedle sił i zdolności. Kto oddziaływać umie na otoczenie niech idzie i zbliży się do tych, którzy pogrążeni w ciemnocie i nędzy oczekują światła. Siermięga chłopska, czy bluza robotnika niech mu nasuwa myśl, że pod tą siermięgą czy bluzą bije serce szczere i nie zepsute, że takich serc jest miliony, a wszystkie takie ciemne i biedne. Ale nie każdy może ma dar, poznawania i zbliżania się do ludzi. Taki niech kształci i uświadamia sam siebie. Niech zdobywa wiedzę, a z nią tę cześć i miłość do rzeczy wielkich i świętych, która później w życiu będzie mu wskazywać drogę prawdy.

Niech jednak nie szuka w poważnej tej pracy jedynie przyjemności. Jak zawsze w życiu i tutaj będzie musiał przejść walkę, jedną z najcięższych, bo walkę z sobą samym. Wiele ideałów, które dotąd uważał za jedynie święte, wiele marzeń i ułud dzieciństwa, w których dotąd widział tylko prawdę — będzie musiał precz rzucić.

Wiedza rzeczywista zmyje ich podstawy. oczyści z wyobraźni i wszystko to jak podmyty brzeg strumienia runie i rozpłynie się w wartkim potoku jej nurtów. Ale za to silne i niewzruszone jej spoidła ukażą mu gmach tak potężny i nie zniszczalny, że rozbiją się o niego wszystkie burze i zwątpienia życia.

Dążymy do jednego najbliższego celu. Celem tym zdobycie za wszelką cenę lepszych warunków dla tej ziemi i dla narodu. Ale jeżeli pragniemy Polski wolnej i niepodległej, jeżeli chcemy mieć byt polityczny to nie taki, któryby łączył wszystkie błędy i choroby dzisiejszych ustrojów państwowych, któryby przyniósł jedno więcej morze krzywd i cierpień ludzkości. Pragniemy Polski, któraby, jeżeli nie całkiem, to przynajmniej w znacznej części była wolną od wad dzisiejszego porządku na świecie.

Ale na to trzeba ludzi — rewolucyonistów.

Żeby zaś być szczerym rewolucyonistą w działaniu, trzeba wpierw zrewolucyonizować umysł i serce.

Z temi słowami żegnamy Was koledzy na czas wakacyjny.

Herbert Spencer.

Świat naukowy święci w roku bieżącym 80-cioletnią rocznicę urodzin głośnego filozofa angielskiego, który w szeregu dzieł odnoszących się do różnych gałęzi wiedzy rozwinął teoryę ewolucyi powszechnej.

Filozofem tym jest Herbert Spencer, znany dobrze publiczności polskiej z li-

cznych przekładów. Urodził się on w 1820 roku. Ojciec jego był nauczycielem i chował syna racyonalnie, rozwijając w nim krytycyzm, zwracając przedewszystkiem uwagę na objaśnianie umiejętne mechanizmu zjawisk, nie troszcząc się o przeładowywanie pamięci szczegółami z różnych dziedzin wiedzy.

Spencer, jak wielu jego znakomitych ziomków, jest właściwie samoukiem. Uniwersyteckiego wykształcenia nie ma, nie jest doktorem. Uczył się sam, czytał kiedy i co chciał. Szedł za popędem swych upodobań.

Powziąwszy wielki plan opracowania »Systemu filozofii Syntetycznej«, Spencer postanowił wykonaniu tego planu poświęcić całe swe życie.

Przez czas jakiś był inżynierem — samoukiem, następnie jednak oddał się wyłącznie pracy umysłowej.

Spadki po krewnych umożliwiły mu byt skromny, ale pewny.

Był jednak czas, kiedy Spencer narażony był na wielkie kłopoty finansowe.

Dzieła jego przez lat kilkanaście nie znajdywały wielu nabywców, ceniono go tylko w małych kółkach uczonych niezawisłych. Stopniowo jednak zdobywał sobie rozgłos coraz większy, doszedł wreszcie do szczytu sławy. Czczono go i uważano za najpotężniejszy umysł w Anglii, a nawet na świecie w XIX. wieku.

Spencer nie ożenił się, chcąc oddać się wyłącznie nauce.

Tyle o człowieku. Przejdźmy teraz do myśliciela.

W zwięzłym artykule nie możemy streszczać i krytykować wszystkich poglądów filozofa angielskiego.

Poprzestaniemy na skreśleniu głównej jego idei i scharakteryzujemy jego fizjonomię duchową.

Czytelników chcących zapoznać się ogólnie z jego teoryami odsyłamy do niewielkiej książki Ottona Gauppa przetłómaczoną na język polski p. t. »Herbert Spencer«, lub do dawnej pracy Th. Ribota p. t. »Współczesna psychologia pozytywna w Anglii«. Gruntowniejsze zapoznanie się z ideałami Spencera umożliwiają liczne przekłady dzieł jego.

Poglądy swe zasadnicze na ewolucyę (rozwój) i na dysolucyę (rozkład), Spencer formułuje w następujących punktach:

1) »Wszędzie we wszechświecie, tak w ogólności, jak w szczegółach, odbywa się nieustanne przemieszczanie materyi i ruchu.

2) Przemieszczanie to oznacza ewolucyę (rozwój), jeśli przeważają intergracya (całkowanie, skupianie) materyi i rozpraszanie się ruchu, zaś dysolucyę (rozkład), jeżeli przeważają pochłanianie ruchu i desintegracya (rozpraszanie się) materyi.

3) Ewolucya jest prostą, jeśli proces integracyi lub tworzenia się spójnego agregatu odbywa się bez powikłania jakiemikolwiek innemi sprawami.

4) Ewolucya jest złożoną, gdy pierwiastkowaniu przejścia od stanu rozpierzchłości do stanu spójności towarzyszą zmiany wtórne, pochodzące stąd, że rozmaite części agregatu wystawione są na działalnoć czynników zewnętrznych.

5) Te zmiany wtórne przedstawiają się jako przekształcenie jednorodności w różnorodność, przekształcenie, któremu podlega wszechświat, jako całość, oraz wszystkie jego części składowe: skupienia gwiazd i mgławice, układ planetarny, ziemia jako masa nieorganiczna, każdy organizm roślinny lub zwierzęcy, agregat organizmów w ciągu całego okresu geologicznego, duch ludzki, społeczeństwo, wszystkie wytwory działalności społecznej.

6) Sprawa integracyi objawiająca się zarówno w szczegółach, jak i w ogólności, wiąże się ze sprawą różniczkowania, przez co i zmiana powyższa polega nie wprost na przejściu od jednorodności do różnorodności, lecz od nieokreślonej jednorodności do określonej różnorodności, a ta określoność wzrastająca, będąca cechą wzrastającej różnorodności, ujawnia się jednako w całokształcie rzeczy, oraz we wszystkich jego działach i poddziałach, aż do rzeczy najmniejszych.

7) Przemieszczaniu materyi, na którem polega rozwój wszelkiego skupienia, towarzyszy przemieszczanie wewnętrznego ruchu względnego, jego części składowych, który to ruch również przybiera stopniowo charakter określony i różnorodny.

8) W braku jednorodności nieograniczonej i absolutnej, owo przemieszczanie

którego rozwój jest jedną z faz, staje się nieuchronnem. Przyczyny, które je czynią nieodzownem są następujące:

9) Niestałość jednorodności, pochodząca stąd, że rozmaite części każdego skupienia organicznego, nie są wystawione na jednakowe działanie sił zewnętrznych. Przeobrażenia stąd wynikające, ulegają powikłaniu z powodu:

10) Pomnażania się skutków: wszelka masa, oraz każda jej część rozkładają siłę na nie działającą, a stąd wielorakość spowodowanych przez nią zmian, z których każda znowu staje się źródłem innych zmian. Im większą różnorodnością odznacza się skupienie, tem większą jest wielorakość zachodzących w niem zmian. Obie przyczyny wzrastających różniczkowań zostają jeszcze wzmocnione przez:

11) Oddzielenie czyli proces, który zmierza do oddzielenia jednostek podobnych i połączenia jednostek jednakowych, skutkiem czego różniczkowania, powstałe na innej drodze nabierają większej wyrazistości i określoności.

12) Zrównoważenie jest ostatecznym wynikiem wszelkich przekształceń, przez które przechodzi rozwijające się skupienie. Zmiany trwają aż do ustalenia równowagi między siłami, na których działanie wystawione są wszystkie części agregatu, a siłami przez te części przeciwstawionemi. Na drodze do ostatecznego zrównoważenia może znajdować się przejściowe stadyum równowagi ruchów (nap. w układzie planetarnym), lub równowagi czynności (np. w żywem ciele). Wszakże stan spoczynku w ciałach nieorganicznych, lub śmierć w organicznych jest nieuniknionym kresem zmian, z których składa się rozwój.

13) Dysolucyą (rozkładem) nazywa się przeciwna zmiana, której prędzej, czy później ulega wszelkie skupienie rozwinięte. Wystawione na działanie sił niezrównoważonych, dąży ono ustawicznie do rozkładu, skutkiem powolnego lub nagłego zwiększenia zawartego w nim ruchu. Rozkładowi temu, szybkiemu w ciałach żywych, a powolnemu w martwych, podlegnie w niezmiernej odległej przyszłości również każda masa gwiazdowa i planetarna, która powoli rozwinęła się w niezmierzonej przeszłości. Na tem właśnie kończy się kołowrót ich przeobrażeń.

14) Rytmiczność rozwoju i rozkładu, która w skupieniach małych dokonywa się w krótkim czasie, w skupieniach zaś wielkich i w przestrzeniach rozproszonych wymaga okresów, nie dających się wymierzyć przez myśl ludzką, jest o ile sądzić można, powszechną i wieczną, każda z obu kolejnych faz procesu przemaga bądź w tej, bądź w owej części przestrzeni, stosownie do warunków miejscowych.

15) Wszystkie powyższe zjawiska stanowią, tak w głównych swych zarysach, jak w najmniejszych szczegółach, nieuniknione następstwo stateczności (zachowania) siły w postaci materyi i ruchu, skoro daną jest siła w wiadomem jej rozmieszczeniu przestrzennem, skoro wiemy, iż ilość tej siły jest niezniszczalną, tj. nie może się ani zwiększyć, ani zmniejszyć, tedy stałe przemieszczenia, znane pod nazwą rozwoju i rozkładu, wypływają już same przez się, łącznie z cechami poszczególnemi, które wyżej przytoczyliśmy.

16) To co trwa po za temi zjawiskami, niezmiennemi pod względem ilości, ale wiecznie zmiennemi co do swych kształtów, przekracza wiedzę i pojmowanie ludzkie; jest to siła nieznana i niepoznawalna, którą musimy uważać za nieograniczoną w przestrzeni, oraz nieskończoną w czasie. (Gaupp: Herbert Spencer, str. 23—26).

Przytoczyliśmy punkty powyższe, gdyż stanowią one rdzeń filozofa angielskiego. W »Pierwszych zasadach« myśli powyższe rozwinął on ogólnie.

W dziełach następnych, w »Zasadach Biologii«, »Zasadach Psychologii« »Zasadach Etyki«. poglądy powyższe Spencer rozwinął szczegółowo z całym aparatem faktów.

W »pierwszych zasadach« Spencer usiłuje pogodzić naukę z religią w ten sposób, że w każdej z tych dziedzin wydzielić chce sferę odrębną.

Nauka, zdaniem jego, ma do czynienia ze zjawiskami poznawalnemi, po za któremi istnieje niewątpliwie sfera niepoznawalna, która wreszcie dla nas tajemnicą zostanie i którą pozostawić należy religii.

Nie sądzimy, aby kwestya postawiona w ten sposób umożliwiła pokojowe współżycie nauki z religią.

Przedewszystkiem, jeżeli przyznajemy istnienie czegoś niepoznawalnego, jakiegoś X, to po za to iść dalej nie możemy.

Dla religii jest to za mało. Każda religia tem się różni między innemi, od nauki, że tam, gdzie ta ostatnia stawia znak zapytania, ona daje odpowiedź określoną i chce, aby tę ostatnią przyjęto w zupełności.

Żadna też religia nie poprzestanie na zaznaczeniu tego, że we wszechświecie istnieje coś dla nas niedostępnego. Z chwilą zaś kiedy to coś zechce tłómaczyć i dopełniać, religia z konieczności wejdzie w zatarg z nauką.

Spencer z wielką bystrością wykazał te granice, których wiedza nasza nie przekroczy, nie zdołał jednak, jak widzieliśmy, usunąć antagonizmu między uauką, a religią. Wielką zasługą naukową angielskiego myśliciela jest, że jeszcze przed Darwinem starał się filozoficznie uzasadnić przemianę gatunków. Jego »Zasady Biologii« są przesiąknięte ideą rozwoju.

»Zasady Psychologii« Spencera odznaczają się szerokim zakrojem filozoficznym i w sposób znakomity przedstawiają nam rozwój życia duchowego.

Oprócz tych zalet ogólnych, odznaczają się one misterną analizę rozmaitych uczuć. O socyologii Spencera czytelnicy »Promienia« mieli już sposobność usłyszeć sąd krytyczny wypowiedziany w artykule »o samouctwie socyologicznem«.

»Zasady socyologii« Spencera pomimo licznych wad tę mają zaletę, że ujmują w jedną harmonijna całość rozwój życia społecznego w różnych jego przejawach.

»Zasady Etyki« odznaczają się dodatnio z tego powodu, że moralność z obłoków metafizyki, sprowadzają na ziemię.

Spencer objaśnia umiejętnie powstanie i rozwój moralności, pozytywna jenak strona jego Etyki bardzo jest niedostateczną, a nawet błędną.

Filozof angielski jest apostołem egoizmu, jego etyka jest na wskróś burżuazyjną.

Główny błąd Spencera tkwi, jak zresztą i w innych jego pracach odnoszących się do społeczeństwa, w tem, że to ostatnie pojmuje zbyt atomistycznie, społeczeństwo jest dla niego poprostu zbiorem jednostek, niczem ponad to.

Dlatego też rozumuje w ten sposób, że jeżeli każdy starać się będzie o to tylko, aby mu było dobrze, to wszystkim, a więc społeczeństwu także dobrze będzie.

Rozumowanie to zapoznaje tę wielką walkę, że jakkolwiek społeczeństwo składa się z jednostek, to jednak jednostki te są odpowiednio zorganizowane w warstwy społeczne: że jedne z tych warstw są w warunkach dobrych dla rozwoju wszechstronnego, inne zaś przeciwnie pędzą ciężki żywot, z tego wynika, że jedni mogą, umieją i chcą się rozwijać, inni chcieliby, lecz nie mogą, albo nie umieją.

Z tej różnoradności warunków wynika ta ważna prawda, że społeczeństwo jako całość nie może się podnieść etycznie, dzięki tylko rozwojowi pojedyńczych jednostek, że jednostka musi przekroczyć swoją osobistą sferę i wejść na szeroką arenę społeczną, że etyka indywidualna wtedy tylko przynosi owoce, kiedy łączy się, a nie przeciwstawia, z prądami społeczno-politycznymi.

Spencer jest optymistą i wierzy, że kiedyś dzięki samorzutnemu rozwojowi nastaną czasy altruizmu, kiedy największą przyjemnością dla ludzi, będzie praca dla drugich.

Być może, ale pewnem jest to tylko, że do tego altruizmu dojdzie ludzkość inną zupełnie drogą niż Spencer sobie wyobraża.

Spencer nie chce, aby państwo się mięszało do spraw społecznych, pozostawiając mu tylko utrzymanie porządku i bezpieczeństwa.

Przeciwny też jest prawodawstwu fabrycznemu, obowiązkowej oświacie itp.

Nawet związki robotnicze nie cieszą się jego sympatyą. Uważa on, że krępują one swobodę jednostek.

Pojęcie wolności jest u Spencera dziwnem.

Niechce on wiedzieć, o tem że wszystkie prawa na korzyść robotników, faktycznie wyzwalają ich: dla niego samo wydanie jakiegoś prawa nap. ograniczenie godzin pracy jest czemś szkodliwem, bo krępuje ludzi.

Zamiast zbadać co lepszem będzie dla wolności, nieograniczona eksploatacya robotników, czy też ograniczenie samowoli

fabrykantów, Spencer zadowalnia się frazesami, że prawa fabryczne są negacyą wolności.

Nie rozumie on tego, że robotnik nie może zawierać dobrowolnej umowy bo jego położenie nie pozwala na to, i że prawodawstwo fabryczne robi człowieka nieco wolniejszym.

Cechą poglądów Spencera jest bierność. Zarówno w „Zasadach Psychologii, jak i w pracach socyologicznych Spencer jest zwolennikiem teoryi bierności.

W swych poglądach psychologicznych za mało uwzględnia doniosłość świadomości, za dużo zjawisk objaśnić się stara mechanicznie.

Reakcyę przeciwko takim poglądom stanowią cenne prace psychologiczne i filozoficzne Alfreda Fonille'ego.

Dla Spencera najlepszą polityką, jest nie robienie żadnej polityki, lecz pozostawienie wszystkiego naturalnemu biegowi rzeczy.

Ta bierność jest bardzo charakterystyczną, opanowała ona umysły w bardzo wysokim stopniu i stanowi dziś wielką przeszkodę w rozwoju społecznym.

Spencer jest nieświadomym wyrazicielem interesów burżuazyi i klas w ogóle panujących, które osiągnąwszy przewagę w społeczeństwie, nie mają o co walczyć.

Poglądy te angielskiego myśliciela przedarły się jednak i do sfer innych, a nawet do inteligencyi radykalnej i wielu ludziom zamąciły sąd zdrowy.

Za daleko by nas zaprowadziło zagłębianie się w pytaniu dla czego tak się stało. Chcąc na pytanie to odpowiedzieć, należało by poddać naszą cywilizacyę współczesną drobiazgowej analizie.

Rozwój nauki z doby najświeższej, zaczyna w innym podążać kierunku, nie tym, którego reprezentantem jest Spencer. Zanadto mechanistyczny pogląd na świat zaczyna odslaniać swe braki, fatalistyczny optymizm ewolucyjny sądzący naiwnie, że wszystko na świecie samo przez się zmierza do dobrego, do zapewnienia ludziom możliwie największej sumy szczęścia, ustępuje miejsca realizmowi twierdzącemu, że wszelkie zdobycze ludzkość okupić może tylko drogą natężonej walki.

Dziś dzieła Spencera utraciły w znacznym stopniu swą wartość.

Jakkolwiek filozof angielski ma i dziś jeszcze gorących wielbicieli, a nawet czcicieli w Ameryce stawiających świątynie »Niepoznawalnemu“, to jednak zaprzeczyć się nie da, że wpływ Spencera w latach ostatnich zmalał bardzo.

Nie zgadzając się w wielu zasadniczych punktach z myślicielem angielskim nie możemy jednak nie podziwiać szerokości jego umysłu, ogarniającego wszechświat: umysłu który w rozmaitych gałęziach wiedzy ludzkiej zostawił po sobie głębokie ślady.

Przed laty kilkunastu wpływ Spencera w naszem społeczeństwie był bardzo potężny. Jeżeli dzieła tego filozofa straciły dziś dużo na wartości, to jednak zawsze pozostaną nieocenionym dokumentem dla historyi ducha ludzkiego w naszej epoce.

ki,

Po uroczystościach krakowskich.

Obchód pięćsetletniej rocznicy wszechnicy Jagiellońskiej należy do przeszłości. Zjazd Polaków z wszystkich zaborów, udział uczonych obcych narodowości i cały tłum ciekawych nadał mu piętno z jednej strony uroczystości kulturalno naukowej, z drugiej uczynił go świętem narodowem.

Nie da się zaprzeczyć, że przetrwanie ogniska nauki przez pięć wieków, ogniska jednego z pierwszych w Europie stanowi wielką zasługę i chlubę dla narodu polskiego, tem bardziej, jeżeli się weźmie na uwagę koleje, jakie Polska przechodzi od wieku. Zapewne, że nie zawsze uniwersytet krakowski był źródłem prawdziwej wiedzy i nauki, że dla Polski nie zawsze był odbiciem i rozsadnikiem tych zdobyczy umysłu na zachodzie Europy, które torowały drogę nowym myślom a burzyły zużyte i ciasne pojęcia dotychczasowe. Miał on i swój okres zaskorupienia i piwnicznej dusznoty scholastycyzmu i tryumfu jezuickiej doktryny. Ale Polska nie zajmywała też pod tym względem odrębnego od reszty Europy stanowiska. Takie same okresy chińsz-

czyzny i obniżenia umysłowego poziomu przechodziły w swoim czasie wszystkie niwersytety w Europie i tylko może różniły się od polskiej wszechnicy tem, że miały więcej zaciekłego fanatyzmu i nietolerancyi.

To też, jeżeli pewne uczucie przygnębienia musiało ogarnąć każdego uczciwego Polaka, gdy był świadkiem obchodu — to nie dlatego, że oddawano cześć tej wszechnicy, która kiedyś była opanowana przez jezuitów i w której kiedyś obskurantyzm niepodzielnie panował. Uczucie to budziło się na widok tego, co dzieje się obecnie. Choroby scholastycyzmu i jezuitów zepsuły jej organizm — były tylko chwilową zaporą w krzewieniu wiedzy. Z chorób tych zresztą nazwa Alma Mater wyszła zwycięzko, jak zwycięzko wyszły jej siostrzyce zachodnio-europejskie. Ale kiedy tamte zdołały się już utrzymać na zdobytym poziomie i uwolnić całkowicie od wszelkiego rodzaju czynników, tamujących rozwój wiedzy — nasz uniwersytet miał to nieszczęście, że popadł w chorobę trzecią, dostał się pod kierownictwo ludzi nie nauki lecz doktrynerów, którzy w sposób karygodny uczynili z niego narzędzie do propagowania swojej doktryny.

Rzeczywistą jest rzeczą, że także cała uroczystość jubileuszowa — co łatwem było do przewidzenia — wykonaną została tak, jak tego chcieli bezwzględni władcy Almae Matris. Począwszy od osławionych „doktoratów“ aż do samej uroczystości i jej charakteru, krótkowidze ci nie umieli oddać prawdziwej czci przybytkowi nauki. Kto słyszał mowy, które wygłaszali ci przedstawiciele „współczesnej myśli polskiej“, kto widział jak cały obchód ograniczał się do bankietów, pochodów z muzyką i odwiedzania kościołów — ten mógł niestety nabrać przekonania, że ta kultura polska, wyobrazicielem której jest ten pięcio wiekowy uniwersytet, należy do... przeszłości.

Hrabia Tarnowski, rektor uniwersytetu, skrzywdził przedstawicieli ludu polskiego ze Szlązka, odrzucając ich dar, którym chcieli zaznaczyć swą łączność i cześć dla wspólnej cywilizacyi. Hr. Tarnowski usprawiedliwiał się tem, że uroczystość jako święto nauki nie może mieć charakteru „narodowego“ (??) ani „politycznego“ (?!), deputacya zaś Górnoszlązaków, nadałaby jej taką barwę! Tymczasem ten sam hrabia ze swemi współwyznawcami przystosowali tę uroczystość w sposób pańsko — wyzywający do partyjnych celów. Zaszczycili godnościami tylko swoich stronników, ocenzurowali przemówienia młodzieży, protestowali przeciw udziałowi chłopów, w mowach swoich niemal powtórzyli program swego stronnictwa. Ale to robili o n i — więc nie miało charakteru polityki.

Uroczystość naukowa! Ale czyż większość profesorów krakowskich z p. Tarnowskim na czele może uchodzić za przedstawicieli rzeczywistej wiedzy i nauki w Polsce?

Czyż pozwalają się tej wiedzy swobodnie rozwijać i rozszerzać czyż dbają o jej czystość i rzetelność? Czy nie znieważają, nie zniżają jej do bagna pospolitych kombinacyi w imię walk politycznych? Dowodem usunięcie Baudouine'a de Courtenai, lub historya w oświetleniu p. Bobrzyńskiego. Gdzieindziej chowa się, kwitnie niezależna, nie skrępowana myśl. Pracują dla niej ludzie, którzy wprawdzie nie dźwigają „biretów“ na głowach ani nie chodzą w fioletach bić pokłony „najjaśniejszym panom“ lecz pracują dla niej z zapałem! Ale to nie są „stańczycy“.

Rumieńcem wstydu okryć się trzeba, gdy się pomyśli, że obcy ludzie, uczeni, którzy przywykli naukę uważać nie za niewolnicę dynastyi, kościoła, lub doktryny, ale jako święty, prawdziwy skarb ludzkości całej — słuchali upokarzających oratoryów wygłaszanych przez profesorów polskiego uniwersytetu. To też u przyjezdnych, a zwłaszcza u osób z innych zaborów nie rzadko można było widzieć niesmak i rozczarowanie z hołdu w ten sposób składanego.

Nie mniej ogół młodzieży krakowskiej złożył egzamin ze swego niepełnolecia. Ale też trudno wymagać od młodych czegoś więcej — gdy są takie wzory do naśladowania. Ze strony tej młodzieży nie rzucono żadnej poważniejszej myśli, którąby w czyn wprowadzona godnie uczciła 500-tnią rocznicę. Nie podniósł się żaden rozumny głos, któryby

wskazał na właściwe sposoby uczczenia. Nie ukazało się żadne dzieło, nie utworzono żadnego funduszu, na poważniejsze jakieś cele, nie podjęto żadnej społecznej pracy, któraby stanowiła trwałą pamięć tak doniosłej rocznicy. Ale za to ta młodzież za przykładem starszych znalazła i dla siebie politykę, przyjmując owacyjnie i z sztucznym entuzyazmem kilkunastu czeskich młodzieńców. To też czeskie „Na zdar" nie pozwoliło jej pamiętać, o daleko większej liczbie jej braci z za kordonów, którzy przybyli odetchnąć swobodnem powietrzem i nabrać otuchy w pokrzepieniu u ogniska polskiej kultury.

Jedynym dodatnim objawem, było zebranie polskiej młodzieży postępowej na którem poddano surowej krytyce, charakter całej uroczystości, zachowanie się rektora i stanowisko ogółu młodzieży w obchodzie.

Obchód krakowski, u ludzi światłych i szczerze kraj kochających był obrazem ironii. Święto wiedzy i oświaty podejmowali ci, którzy w kraju swym są nieprzyjaciółmi oświaty; składali hołd Jagielle twórcy uniwersytetu ludzie, którzy zmiatają prochy z pod tronów obcych monarchów.

Nam młodym pięć wieków istnienia polskiej wszechnicy inne nasuwa myśli. Wiemy my, że uniwersytet jagielloński wyzwoli się z tych pętów, jakie na niego włożyli grabarze nauki i że się odrodzi z tego letargu, jak się odrodził z niewoli średniowiecznej dla chwały narodowej kultury. Dziś możemy pragnąć jednego tylko, by chwila jego odrodzenia była zarazem chwilą powitania wolnego uniwersytetu w sercu polskiej kultury, w wolnej Warszawie.

S. O.

Ludzie nowi w powieści polskiej.

W literaturze polskiej porozbiorowej — jeżeli nie brać pod uwagę lat ostatnich, w których obok dawnych tradycyi rozwijają się nowe kierunki o skrajnie subjektywnych tendencyech, — uderza nas ta jedna cecha szczególna, że tak słabo w niej jest rozwinięty, tak prawie zawsze na drugi plan usuwany — pierwiastek egotyczny.

Wielkie arcydzieła naszej poezyi romantycznej, oddające z taką siłą i plastyką duchową istotę ich twórców, pragnienia ich, myśli i namiętności, — sprawiają w ogromnej przewadze takie wrażenie, jak gdyby ci ludzie nie mieli w życiu żadnych osobistych ambicyi ani celów, — jak gdyby nie odczuwali własnych swoich osobistych zwątpień, smutków i radości,— indywidualną swoją istność stapiają oni jakby w jedno z życiem narodu całego, ze źródła mąk jego jedynie czerpią swe natchnienie, w jego lepszej przyszłości widząc jedyny cel swych pragnień i dążeń.

Ten fakt napozór wyjątkowy wyda nam się zupełnie naturalnym, gdy weźmiemy pod uwagę wyjątkowe położenie, w jakiem naród polski się znajduje. Niewola polityczna jest nietylko dla społeczeństwa naszego, ale i dla każdego z poszczególnych jego członków tem, czem jest kula pozostała w ciele rannego człowieka, kula, która jątrząc ranę ciągle, sprawia ból nieustanny i zagraża niebezpieczeństwem życiu, dopóki nie zostanie wyjętą. Dopóki my jako naród istnieć na ziemi będziemy, dopóki będą na świecie Polacy, uświadamiający sobie swoją narodowość i przyznający się do niej, dopóty walczyć będą o odzyskanie niepodległości, gdyż brak tej niepodległości obraża najgłębsze nasze uczucia ludzkie i nie dozwala nam żyć i rozwijać się normalnie.

Jeżeli wnikniemy głębiej w istotę dziejów naszych porozbiorowych, to zrozumiemy i ujrzymy jasno, że wszystkie nasze walki i dążenia, cały rozwój kulturalny i umysłowy, wszystkie przemiany, jakie w rozwoju tym przebywało nasze społeczeństwo — obracały się koło jednej osi, skierowywały się ku jednemu celowi, a tą osią i tym celem było i jest dążenie do zdobycia niepodległości.

Poczynając od spisku Gorzkowskiego, uknutego zaraz w parę miesięcy po trzecim rozbiorze kraju, a nawet lepiej licząc — od Konfederacyi Barskiej, która była pierwszą próbą wyemancypowania się narodu z pod wpływów obcych,— i kończąc

na tym rozwijającym się dziś coraz potężniej ruchu robotniczym, skierowanym groźnie przeciw rządom zaborczym, możnaby przeciągnąć cały łańcuch zdarzeń i przemian, mających za jedyną osnowę walkę z najazdem. Walka ta wypełniała naszą przeszłość, trwa w teraźniejszości i ciągnąć się będzie w przyszłość dopóty, dopóki cel jej nie zostanie osiągniętym.

Wieszczom naszym przypadł udział niepośledni w tej walce. Jak w starej Grecyi, za czasów Homera — bohaterskie czyny i wielcy nasi ludzie znajdowali w nich swoich pieśniarzy, i na odwrót — pieśń pobudzała do nowych czynów i heroicznych poświęceń.

Rok 1863 był jakby epilogiem tego wielkiego okresu, który możnaby nazwać „romantycznym“ okresem naszych dziejów porozbiorowych.

Po upadku powstania r. 1863, gdy zawiodła wiara mistyczna w pomoc nadprzyrodzoną i w zwycięstwo ducha nad materyalną przewagą wrogów — w pojęciach społeczeństwa naszego o drodze, jaką dążyć należy do zdobycia niepodległości, nastąpił przełom. Drogą naturalnej reakcyi zwrócono się teraz do szarej prozy codziennego życia i rzucono hasła „pracy organicznej“. Nowe te dążności znowu znalazły zaraz odbicie w literaturze, głównie — w powieściach Orzeszkowej i Prusa.

Te nowe dążenia jednak, jeżeli nawet były zapoczątkowane w dobrej wierze — bardzo prędko przerodziły się w potworną anomalię. Starano się wmówić w „patryotyczną“ opinię publiczną, że im więcej w społeczeństwie będzie wypasionych fabrykantów i złotem wyładowanych bankierów, tem Ojczyzna będze szczęśliwszą, i tem bliższem jej wyzwolenie. Lepsza część społeczeństwa zrozumiała też prędko, że jest to złudzeniem, aby garstka kapitalistów, tuczących się krwią i potem milionowych rzesz ludu pracującego miała przez swoje wyładowane mieszki uszczęśliwić naród, który przecież składa się z tych wyzyskiwanych mas ludowych. — Zrozumiała też, że jeżeli należy istotnie zaprzestać bujania w obłokach, jak to czynili romantycy, i stanąć na gruncie pozytywnych ziemskich interesów, to w każdym razie działając dla dobra n a r o d u, należy raczej działać w interesie milionów l u d u pracującego, który w ogromnej przewadze naród s t a n o w i, niż iść z garścią tych, którzy lud wyzyskują, bo wyzyskiwać muszą, bo interesy ich jako interesy kapitalistów sprzeczne są z interesami robotników.

Tak też ci ludzie n o w i zrobili, stanęli na gruncie interesów klasowych i zaczęli walczyć z wyzyskiwaczami, czy nimi byli obszarnicy w Galicyi, czy fabrykanci w Kongresówce. Przez naturalną jednak znowu reakcyę ludzie ci wpadli na początku w drugą ostateczność — pochłonięci przez walkę ekonomiczną, zapomnieli o podkładzie narodowym, na jakim w realnych warunkach naszego społeczeństwa walka ta musi być oparta, i nawet wyrzekli się tego ideału narodowego, aby im, jak mówili, nie mięszał pojęć, nie przeszkadzał w walce ekonomicznej. Tak było w końcu 8go i w 9tym dziesiątku lat ubiegłego stulecia.

Była to jednak tylko omyłka, omyłka formalna, wynikająca z nieuświadomienia sobie przez tych ludzi istoty i charakteru ich działalności. Omyłka taka musiała być czasową,—i istotnie ludzie ci wkrótce zrozumieli swój błąd i uznali się za potomków w prostej linii domowych romantyków a nawet i tych pierwszych, którzy w dobrej wierze postawili program pracy organicznej, — uświadomili to sobie, że oni teraz w spadku po tamtych otrzymali walkę o niepodległość, i tylko obrawszy n o w ą d r o g ę, — na tej drodze chcą być szczęśliwszymi od tamtych i cel swój osiągnąć, mianowicie: d z i a ł a j ą c w i n t e r e s i e l u d u p o l s k i e g o p r a c u j ą c e g o, i d ą c z t y m l u d e m p r z e c i w w y z y s k i w a c z o m s w o i m z a r ó w n o j a k o b c y m, d r o g ą r e w o l u c y i s p o ł e c z n e j d o j ś ć d o o d z y s k a n i a n i e p o d l e g ł o ś c i n a r o d o w e j.

Zadaniem mojem będzie właśnie wykazać, czy i o ile nowi ci ludzie i ich ideały zostały pojęte i odtworzone przez autorów naszych we współczesnej powieści polskiej. (C. d. n.)

My.

Na naszą dolę nie wypadły żniwa,
Kłosem nam bujna nie zaszumi niwa
W lipcowy skwarny dzień;
Nie żyzne role — ugór, odłogi,
Nie plony złote — ciernie a głogi,
Nie słońce -- mrok a cień...

My nie rycerze w zbroi skrzydlatej,
Ani w odzieży tkanej bogatej —
Roboczy, szary lud,
Milcząc wychodzim — siewcy, oracze,
A wicher tylko nad nami płacze
Na ten nasz znój, na trud.

I tylko niebo nad nami czarne,
I za to życie nasze ofiarne
Nie wspomną nawet nas...
A my idziemy! bo każdy z sobą
Gwiazdę ma w sercu, każdy z tęsknotą
W daleki patrzy czas.

Pobudka.

Nam cisza cięży, a burza trwoży,
W nas krzepki ojców zwątlał duch,
Choć się nad głową wicher sroży,
Choć nie jednego grom położy —
Niech żyje praca, walka, ruch!

Odłogiem leżą nasze niwy,
Rdzewieje dawno w kacie pług,
Odbiegł go rolnik nieszczęśliwy,
Dziś zagon czeka — siewu chciwy,
Czas ziemi oddać pracy dług.

Nam słońce życia nie świeci jeszcze,
Na polach cierni, chwastów w bród —
Czas targnąć czynu struny wieszcze,
Z serca martwoty wyrwać dreszcze,
Czas zdobyć pracy życia cud.

Hej braci młoda, do góry czoła!
Życie wytrwałym, słabym zgon!
Nas przyszłość wiedzie, przyszłość woła,
Choć droga ciężka a nie wesoła,
Plon nam wyrośnie, życia plon!

Ostatni.

Burzliwa fala w okół wre,
O zręby skał bije jak młot,
Widnokrąg cały tonie w mgle,
Oczy przesłania chłodny pot,
Ramiona mdleją, zwisa dłoń,
Wysiłkiem pulsów tętni skroń...

A tu za ciosem pada cios,
Stygnąca ręka puszcza broń,
Wicher zagłusza wodza głos
I bliżej, bliżej, groźna toń —
Ginie dokoła słabsza brać,
Oni do końca będą trwać.

Ha! mało ich, i coraz mniej...
Wicher sztandaru szmaty rwie —
Przy piersi pierś: swej doli złej
Ugiąć się żaden nie da, nie!
Żaden nie umknie swoich stóp
Z tych skał: zwycięstwo albo grób.

Na niebie mrok, na ziemi bój,
Żywiołów nie chce zmilknąć gniew..
Pójdzież na marne krwawy znój?
Czy plony wyda walki siew?
To przyszłość wie! dziś, choćby ledz,
Sztandaru wiernie będą strzedz.

Kruszeje skała, niknie ląd,
Zagłady pieśnią wicher gra,
A tam na wieków czeka sąd
Przy swoim znaku garstka ta —
Przez ryki fali u ich stóp
Bije: zwycięstwo albo grób!

Warszawa. *Acernus.*

Ibsen w rozwoju dramatu.

(Dokończenie.)

Zaślepiony fanatyk swej idei twórczej szukał wzoru dla tej koncepcyi myślowej w kobiecie, którąby wespół z nim chciała się poświęcić jego rzeźbiarskiemu posłannictwu, z której duszy mógłby czerpać zapał, by zakląć ją w złudę, larwę, pozór. Wtedy przed laty znalazł Irenę, w każdym rysie ciała i duszy urzeczywistniającą jego sen dziewiczych kształtów zmartwychwstania. Przysięgła iść z nim na kraj świata i służyć mu wiernie i bez zastrzeżeń.

Cztery lata bezpowrotnej młodości ofiarowała mu, rozrzutnie marnotrawiąc skarbami swej duszy i urokami ciała. Podsycała ogień twórczego jego natchnienia. Zaś Rubek przejęty rodzącym się tworem sztuki, artysta w każdym calu, żył swym snem marmurowym, ślepy na duszę kobiecą, mrącą z tęsknoty obok niego i wielkiego ukochania, i pragnącą żyć i jeszcze raz żyć, żyć górnie i chmurnie i rubekowskie sny o życiu w pełne akordy życia wcielać. Bez skrupułów wyczerpawszy bogactwa tej wrącej duszy, chłodno dziękował jej Rubek po ukończeniu swegu arcydzieła za pomocą jej, udzieloną mu w pracy i zapewniając, że chwile z nią przeżyte, będzie uważać za najpiękniejszy epizod swego życia. Okradziona tak i oszukana przez bezduszny mózg artysty, z pustką w sercu mogła się cofnąć w mrok i zapomnienie, w grób za życia położyć. Poszła w daleki kraj nudy, pustki, smutku. Po latach dopiero spotyka się z nim na pół żywa, na pół obłąkana z nim na półżywym bankrutem dawnych ideałów. Za późno poznał błąd swego życia, widzi chybione szczęście, coś, co się powetować nie da, za późno martwy budzi się z letargu — tak my wszyscy u schyłku dni żałować będziemy godzin daremnie straconych, godzin wszystkich całego życia — za późno pragnie wrócić w czasy młodości i przeżyć sen nocy letniej na górach -- a kto z nas nie śni o nocy letniej na górach? z towarzyszką młodości wybiera się w góry starzec, aby zobaczyć raz w życiu wschód słońca, a tam na szczycie zmiata oboje lawina w przepaść śmierci na sen nieprzespany, na wieczny odpoczynek.

Jest i tu owa posępna atmosfera beznadziejności, owa zmora mgieł i chmur, ów ciężki balast, kładnący się na pierś widza i słuchacza i sznurujący mu oddech. Ten rodzaj odczuwania tragizmu, jest trzecim rysem dramatów Ibsena, decydującym i znamiennym, który stanowi po za realizmem i romantyką mistyczną piękność ich poezyi. W tem przekonaniu o ślepej bezsilności człowieczej wobec przemożnej potęgi losu, w tem ibsenowskiem „za późno“ i „daremno“, tkwi przecież ogromna siła nerwu żywotnego i samozachowawczego instynktu, który się na to godzi. Czasami katastrofa ma źródło swe w napozór drobnym fakcie zewnętrznego życia, w jakimś atomie winy, w jakimś pyle śniegowym, który tocząc się, zbija się w kłąb, urasta w lawinę, siłą ciężkości leci w dół, przytłacza i gubi winnych i niewinnych. W tem leży rewolucyjne znaczenie w sztuce tych dramatów. Dramat nie oznacza już akcyi. Od Ibsena nauczono się, że przejścia duchowe o wiele intenzywniej umieją wzruszyć słuchaczy. Skupiając wszystko w epilogu, w ostatecznej konkluzyi, na którą dramat zamienił, pozostawił Ibsen ludziom ucieczkę w wnętrze ich własnych dusz wobec konsekwentnych wyników ich doli główne zajęcie budzi namiętnem i gwałtownem rozpatrywaniem nieszczęsnego, nieuniknionego położenia. W takim stanie bohaterzy jego mają jakiś skryty, zacięty upór, jakąś zdławioną energię i dumny hart woli, która stawia czoło ciosom nieszczęścia, przyjmuje je z mężnem sercem i w chłodnej ufności w swój stoicki spokój mimo wszystko, ale nie złorzeczy, nie przeklina i nie protestuje. Zresztą pod klątwą przeszłości nie mają już czasu na spóźniony czyn ratunkowy. Budowniczowie losów własnych dają się po prostu druzgotać, nie umiejąc podtrzymać walącego się w gruzy gmachu.

To stoi w ścisłym związku z reformacyjną formą dramatu ibsenowskiego i ich techniką. Ten ścisły związek obala też gruntownie ów ciekawy absurd estetyczny, który mówi o odrębności faktury scenicznej budowy dramatu od jego treści.

Nie ma arcydzieła dramatycznego, któreby nie posiadało organicznie spojonej treści z formą i to formą budowaną od wewnątrz, a nie od zewnątrz. Jak architekt wznoszący gmach czy świątynię, musi wejść w ich cele, intencye i tylko wtedy stworzy dzieło sztuki, kiedy plan swój rozwijać będzie od środka, kiedy przestrzenią zamkniętą murami rozporządzać będzie wedle logiki potrzeby i przeznaczenia a ornamentykę i dekoracyjną fasadę zamieni w zewnętrzną powłokę, w widomy, prosty wyraz owego jądra, ściśle doń zastosowany, jak wszelki organizm tworzy swą formę z wewnętrznego

rozwoju komórek, tak faktura dramatu w całości i w częściach jest tylko zewnętrznym kształtem wewnętrznej jego treści.

Do owej treści dramatu, o której powyżej mówiliśmy, stworzył sobie Ibsen swoją analityczną formę. Ponieważ jest to rzecz, o której wróble na dachach wiedzą, i recenzenci gazet ćwierkają, przytoczę tu cytat niemieckiego autora Roettekana.

„Ideał dramatu u Ibsena wymaga możliwie największego skupienia i wszelkie jego sztuki rozgrywają się w przeciągu kilku dni lub godzin. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak pewną część materyału oddzielić jako rzecz poprzedzającą wydarzenie na scenie, traktować ją jako przeszłość, z której właściwy dramat się urodził. Przeszłość tę podaje Ibsen jako szereg nagich faktów, które na scenę jako część widocznej akcyi wprowadza. Załatwia się on z niemi jak gdyby bez przymusu, okazując pod względem komunikowania ich publiczności prawdziwe mistrzostwo. Dyalog rozwija się w sposób naturalny aż do chwili, gdy ten lub ów niezbędną czuje konieczność rozumienia przeszłości — w sposób krótkiej wzmianki lub dłuższego opowiadania: i pod tym względem umie Ibsen bardzo interesować czytelnika. Zaraz na początku słyszymy jakieś napomknienie, dzięki któremu przeczuwamy, że coś jest w przeszłości, z naprężeniem więc czekamy odkrycia tajemnicy. Ale i to odkrycie nie odbywa się od razu: z początku dowiadujemy się jakiejś drobnej cząsteczki, równocześnie jednak czujemy, że poza tem jest coś gorszego, coś ważniejszego. I tak stopniowo dopiero dochodzimy do prawdy, a sposób ten oddziaływa nadzwyczaj na nerwy widza — jesteśmy formalnie przejęci strachem, a strach ten wyrasta w miarę tego, jak się zbliżamy do ostatecznego odkrycia całej przeszłości". Tyle Roetteken.

Ta koncentracya dramatu Ibsenowskiego jest zresztą analogicznem zjawiskiem z całym rozwojem sztuki współczesnej, Przychodzi tu do zastosowania owe prawo fizycznej, że ta sama ilość pary wywiera większe ciśnienie na mniejszą powierzchnię. Otóż sztuka, która swe cele osiąga przez estetyczne wzruszenie i emocye widza, słuchacza czy czytelnika, zamyka o ile możności całą swą intenzywną siłę w minimum objętości.

Te cechy ma też ów skąpy dyalog Ibsena i język jego dramatów. Odpowiadają one zdaniu Nitschego: „Das Minimum im Umfang und Zahl der Zeichen, dies damit erzielte Maximum in der Energie der Zeichen."

Jakże daleko jesteśmy od frazeologii francuskiej od napuszystości dekoracyjnej niemieckich jambów i kobieco naiwnej gadatliwości polskich dramaturgów.

Te krótkie, urywane zdania Ibsenowskie, zwłaszcza w ostatnich czterech dramatach, robią często wrażenie takie, że my poza temi bezpośredniemi słowami czujemy jakiś namiętniejszy, bezpośredniejszy jakby podziemny dyalog duszy, jak gdyby rzeczywistą i najważniejszą widownią dramatu był jakiś nieznany czwarty wymiar.

Jest to zdobycz wielka i nieobliczalna w skutkach.

Mowa jest tu wprawdzie charakterystycznym zwłaszcza dla sztuki aktem, znamieniem dramatu, ale jest ona jakby uduchowionym transparentem, poza którym płonie bardziej nieświadomy, rzec można, psychofizyczny kontakt dusz, ma ona pewną cechę dorywczości mimowolnej, o tyle bogatszej w estetyczne wrażenie, że pobudza umysł z tych pozornie bezcelowych wyrażeń osób wnioskować o ich duchowych procesach i w ten sposób je odczuwać. Wewnętrzne konflikty nie znajdują ujścia w bezpośrednich wyrazach, ale rzucają silny refleks w pośredni sposób na ten pozornie nieudolny dyalog, i pozwalają śledzić wewnętrzny tok zdarzeń.

Jesteśmy u końca.

Ze społecznego środowiska, o którem mówiliśmy na początku, na tle owej mizeryi teatralnej wyrasta Ibsen jak epokowy olbrzym ducha, stylowy w każdym calu swojej działalności. Stworzył on dla Europy współczesnej właściwy jej wielki dramat, i wytyczył drogi, któremi dramatyczna jej twórczość niewątpliwie pójdzie. On jeden potrafił scenie przywrócić godność wielkiego misteryum i nadać jej

nowy, charakterystyczny styl. Na ten styl składa się jedność formy i treści, cała owa celowość dramatycznych utworów wymierzona w duszę publiczności, gdzie każdy ruch, każde słowo ma wagę i oznaczony cel. A potem owa kolosalna indywidualność poety, wyciskująca swe niestarte piętno, jednolitość charakterów, i jedność nastroju całości, utrzymanej zawsze w jednym tonie, promieniejącej zawsze jednem światłem.

Ta dramatyczna stylowość o charakterze wybitnie nowożytnym ma kolosalną doniosłość dla rozwoju sztuki aktorskiej i zmiany jej techniki. „Ibsen jest najlepszą szkołą — utrzymuje Heine — dla ensemblu artystów, zepsutych korrupcyą twórczości scenicznej, szukających nowych ideałów swej sztuki, jest kamieniem probierczym, dającym poznać zarówno teatralną manierę, jak naturalistyczną wybujałość.

Tak wprowadzenie Ibsena w stały repertoar scen jest początkiem odrodzenia sztuki dramatycznej i nowego rozkwitu stylowej gry aktorskiej. Gdziekolwiek od dziesiątek lat rodziły się talenta dramatyczne, obierały Ibsena za patrona, za hasło, za sztandar. Żywy ruch szedł ze Skandynawii po całej środkowej Europie. Młodzi zakładają stowarzyszenia, mające na celu pielęgnowanie sztuki dramatycznej i propagowanie nowych jej ideałów, grupy, których zbawienną doniosłość dla postępu kultury wykazywał w swych arcydziełach drugi rewolucyonista na polu sztuki, wielki muzyk Ryszard Wagner.

Tak Ibsen stoi jak wielki drogowskaz, jak biały słup milowy cywilizacyjnego pochodu ludzkości. Syn trzeciego stanu wiekopomną okrył się zasługą tem, że był jego marnotrawnym synem. Wyszydzany, szczuty, na dobrowolnem wygnaniu, wierny swemu posłannictwu, doczekał się dni, w których jako siedemdziesięcioletni starzec otrzymał zupełną satysfakcyę. To był tryumfalny rewanż. Tłum przyszedł i złożył potentatowi ducha hołdowniczy pokłon. Jego sztuki ściągają tłumy widzów i liczą coraz więcej zwolenników: mają stanowczą większość za sobą. Równorzędnie budzi się w całej Europie silne odczucie potrzeby dramatu. Jest to objaw znamienny.

Pełnymi żaglami płyniemy w nowe jakieś morze, w nowy okres, w którym stosunek społeczno-indywidualny znajdzie jakąś odpowiednią kulturalną formułę. Będzie to niewątpliwie okres rozwoju wielkiej sztuki dramatycznej.

Ostap Ortwin.

Nieco o „modernizmie“.

„Modernizm“ zawitał do nas na dobre przed niewielu laty i w krótkim czasie wszczął walkę literacką, która trwa jeszcze dotychczas. Pojawienie się jego znamionuje też fakt nie ulegający wątpliwości, że „nowa sztuka“ odciągnęła wielu ludzi, zwłaszcza z pośród młodzieży od pracy narodowo-społecznej, i dlatego właśnie zajmujemy się tą kwestyą. Aby jednak zrozumieć przyczyny tego znamiennego objawu, trzeba poznać, co to jest właściwie modernizm, wśród jakich warunków i jak się u nas rozwinął.

Przez modernizm, mojem zdaniem, należy rozumieć przełom w sposobie przedstawiania rzeczy w sztuce, oraz baczniejsze, a raczej wyłączne zwrócenie uwagi artysty na duszę ludzką. Modernizm po raz pierwszy zdał sobie zupełnie jasno sprawę z tego, że przedmiotowy opis przyrody należy do historyi naturalnej, że fakty same w sobie ważne są tylko dla historyi ludzkości, że jednem słowem, stawianie czytelnika przez artystę w położeniu biernego widza jest rzeczą nauki, a żadną miarą sztuki; pojął, że dla sztuki otwiera się inna droga, działania na ducha ludzkiego: nie przez zmysły, nie przez uzmysłowienia nawet wyobraźnią — ale przez uczucie. I podczas, gdy naturalizm postawił sobie za zadanie, przedstawienie przedmiotowego świata mozolną drogą rozumowo-naukowego badania z fotograficzną dokładnością, — to tz. „nowa sztuka“ żąda od artysty realizmu jego własnego uczucia. Nie znaczy to jednak wcale, że dany utwór artyzmu musi być koniecznie wypływem absolutnego subjektywizmu twórcy; znaczy tylko, że artysta, chcąc odtworzyć jakiś charakter, chcąc

przedstawić ducha danego osobnika lub gromady, dopnie swego celu nie przez analizę zewnętrznych cech (bo dane, spostrzeżone na tej drodze zmysłami mogą doprowadzić do błędnych lub bardzo niedokładnych wyników) — lecz przez wstawienie się w położenie opisywanego charakteru, przez przeżycie w jego warunkach wyobraźnią swą i uczuciem, przedstawianych przez niego chwil i wydarzeń. Człowiek więc nie umiejący głęboko odczuć przedmiotu swego utworu, nie potrafi być artystą-modernistą. Dopiero utwór tak pojętego artyzmu wprowadzi (jest to rzeczą psychologicznie stwierdzoną) czytelnika w to samo uczucie w ten sam nastrój, który miał artysta, stwarzając dzieło, tak jak mówca potrafi porwać tłum, gdy mówi szczerze, uczuciowo, każe mu się przejąć tem, co czyta, tj. niejako to, co przedstawia artysta. W takim tylko razie będzie się mierzył realizm dzieła — potęgą wrażenia u czytelnika i to powinno być wedle zasad „nowej sztuki“ najwyższem kryteryum, najwyższym probierzem wielkości dzieła artysty.

Taka sztuka jest naprawdę wielką, bo odtworzy nam duszę ludzkę w jej porywach, cierpieniach, smutkach, radościach i wszystkich nastrojach, a osiągnie to środkiem działającym na nas wsprost, wzbudzającym w nas chwile przeżyte w uczuciu i wyobraźni przez artystę, w czasie gdy tworzył swe dzieło, grając na strunach naszej duszy.

W tem też leży tajemnica splecienia się nierozerwalnego formy z treścią w utworach modernistycznych bo i jedna i druga mają jeden jasny cel przed sobą: działać na uczucie. Forma poetyczna odgrywa niejako rolę muzyki duszy. Dlatego musi z natury rzeczy pozostać swobodną. nieskrępowaną, i nie jest wyrazem zimnych ciasnych reguł.

Lecz pewnie w tem miejscu spotkam sie z zarzutem, że fałszuję historyę literatury, bo uczuciowość i niekrępowana regułami forma to wcale nie wynalazek modernistów: że choćby Słowacki prawie ciągle a Mickiewicz bardzo często trącali o tę strunę duszy w swych utworach, że z ich serca buchały ognie „Improwizacyj“ lub „Ody do młodości“, urągające dawnym utartym prawidłom wiersza pod względem formy i treści — że i teraz przed modernizmem pisał np. Asnyk rzeczy tak wysoce nastrojowe... — Prawda: ale pierwsi moderniści postawili uczuciowy nastrojowy sposób przedstawiania za najważniejszy, za absolutny postulat nowej sztuki. pierwsi ogłosili absolutną nieskrępowaną niczem wolność treści i formy poetycznej. Rzecz prosta, że w takich warunkach, gdzie nietylko żadne prawidło utarte nie powinno tłumić swobody wyrażania uczuć, gdzie nawet sam poeta nie może sobie nakładać kajdan na wyobraźnię i uczucie — że tam nie może być mowy o tendencyi*), bo ona by tylko osłabiła wrażenie dzieła.

Tak by się przedstawiał idealny modernizm. Lecz niestety, jak wszelki nowy kierunek, zwłaszcza w sztuce szukając sobie nowych dróg, schodzi często na bezdroża, jak romantycy w Niemczech początkowo żywili sympatyę ku średniowieczczyźnie, sądząc po niektórych szczegółach, które im się podobały (np. mistycyzm, rycerskość), uogólniali owo przeświadczenie, wydając sąd optymistyczny o całości urządzeń średniowiecznych, idealizując najwstrętniejszą, najreakcyjniejszą nieraz stronę życia społecznego w wiekach średnich (jak np. feudalizm); tak i teraźniejszy modernizm przyniósł do nas ze sobą prócz pożądanego przełomu artystycznego w sztuce, także pewien pogląd na świat, pewną doktrynę społeczną, która naturalnie szkodliwie i właśnie wbrew głoszonym zasadom tendencyjnie oddziałała na sztukę i jej utwory, a nawet na społeczeństwo, przedewszystkiem zaś na młodzież. Jestto rozmyślne, tendencyjne odsądzanie od sztuki przez naszych „prowodyrów“ modernizmu wszystkiego co tchnie pewną ideą społeczną. Ciekawa rzecz: ci właśnie „indywidualiści,“ uznający niby odrębny sposób myślenia i czucia u każdego, chcą komuś zabronić głę-

---

*) By mnie fałszywie nie zrozumiano, zaznaczam że przez wyraz „tendencya“, rozmaicie pojmowany, rozumiem wszelkie rozmyślne naciąganie dzieła w pewnym kierunku, nie według tego, jak dyktuje uczucie, a więc ze szkodą tegoż.

boko czuć niedolę bliźnich i ucisk mas, a dzieła, w których się takie uczucie przejawia, wyrzucić poza nawias sztuki! Lecz mówią oni, że to uczucie nie leży głęboko w naturze ludzkiej, że ono jest sztucznym przemijającym objawem a sztuka winna odtwarzać to, co w duszy ludzkiej jest wiecznem, przyrodzonem, nie wymuszonem: — Tak! lecz czyż miłość bliźniego w dziejach ludzkości młodszą jest niż miłość kobiety? Inna rzecz, że ona się coraz inaczej przejawia, coraz inne sobie tworzy systemy i rozwija się wraz z postępem ludzkości — lecz pierwiastek tego uczucia jest zawsze ten sam, zawsze wieczny, przyrodzony ludzkiej naturze, która mu każe nawet o sobie zapomnieć i własne życie stawić na kartę, gdy drugiego widzi w nieszczęściu. To wcale nie sztuczny, lecz żywiołowy objaw. Są jednak moderniści, jak np. malarz Segantini, który, przedstawiając wszystko wedle zasad „nowej sztuki“, otworzył przed nami całą nędzę i rozpacz biednych alpejskich górali, którego obrazy wstrząsają do głębi dusze widzów jaskrawem wyrażeniem cierpienia owych uciśnionych, upośledzonych i zapomnianych. Jakże wspaniałym jest naprzykład jeden jego obraz: Na stromem, skalnem urwisku nad otchłanią, na dnie której tryska szumiący górski potok białą pianą, jakby zgłodniały i żądny ofiar, — stoi biedny wynędzniały góral z widocznym zamiarem rzucenia się w przepaść; lecz w jego ruchach w całej pozycyi ciała znać wahanie; czyżby walczył z bojaźnią? Nie! w jego oku błysk rezygnacyi i nienawiści do życia i jego cierpień: tylko brew bólem ściągnięta i usta, z wyrazem silnego cierpienia duszy, wskazują, że temu biedakowi żal opuscić swej biednej rodziny i w tej ostatniej chwili myśli jeszcze o nędznym losie, który ją czeka w przyszłości może jeszcze gorszym niż jego samego. — A tu jakby na urągowisko bogata w piękne widoki natura patrzy bezlitośnie niemal krwiożerczo na jego rozpacz, samotny czarny świerk wichrem przygięty ku ziemi zdaje się, że go pragnie strącić z urwiska w przepaść, krzewy kosodrzewiny, co mu pod nogami na skałach przysiadły, wyciągają po niego długie czarno-zielone palce, a z góry oświeca nagie, zimne, posępne skały, słońce, zaszłe krwią zachodu. Obraz ten zatytułowany: „Czy skoczy“, niewielki rozmiarem lecz głęboki myślą i uczuciem, robi na widzu ogromnie silne wrażenie.

Lecz nasi krakowscy moderniści nie poprzestają na odebraniu prawa wyrazu w sztuce pewnemu zakresowi uczuć, pogardliwie zwanemu przez nich „tendencyą“, lecz idą dalej: przekraczają zakres sztuki i wchodzą na pole filozofii, socyologii, metafizyki i w ogóle nauki, mając pretensyę do uważania tego za warunek „nowej sztuki“ i co więcej — za pogląd naukowy. Bez głębokiego badania ogłaszają sexus za sprężynę życia ludzkości, za wszechprzyczynę jego dziejów, za jedyną podnietę pchającą społeczeństwa naprzód, stwarzającą nowe formy urządzeń społecznych, cywilizacyę i wogóle postęp ludzkości. Nie wchodzę w to, że naukowo rzecz wziąwszy, taka teorya nie wytrzymuje prawie krytyki: jeżeli ktoś jest o tem, jak Przybyszewski, głęboko przeświadczony ze swego własnego „widzimisię“ „czuję, że tak jest“, to jeszcze zgoda: ale jeżeli cała rzesza to samo głosi i uważa wprost za warunek sine qua non dla ogółu artystów światopogląd odczuty przez jednostkę, a nieudowodniony naukowo, to takie postępowanie jest chyba co najmniej komicznem. Czyż to nie śmieszne powiedzieć komuś: nie jesteś modernistą, bo masz poglądy społecznika? — W ten sposób wytwarza się rzecz bardzo dla sztuki szkodliwą, szkołę z pewnymi poglądami o ciasnem stanowisku.

Tak samo wielu „młodych“ nie pojęło dobrze istoty modernizmu i sami nie umiejąc pisać głęboko, uczuciowo, bo nigdy naprawdę nie czuli, egzaltowali się na zimno i naśladowali tylko przesadnie zewnętrzne formy prawdziwie nowej sztuki, mylnie sądząc, że jej wielkość polega na łączeniu jak najodleglejszych pojęć, na tworzeniu paradoksów i w ogóle na dziwaczności, byle tylko była oryginalną. Przykładów możnaby wiele przytoczyć.

To też nie ci, którzy się uważają za jedynie opatentowanych modernistów, (a w istocie opóźniają tylko tryumf nowej

sztuki, przypisując jej cechy niesympatyczne i szkodliwe dla społeczeństwa i sztuki) — ale nowy coraz liczniejszy zastęp prawdziwie wielkich artystów dokonywa powoli lecz stale owej pożądanej rewolucyi w sztuce, torując drogę prawdziwemu modernizmowi. Są to ludzie tworzący z niekłamanem uczuciem, piewcy wstrząsających bojów naszego ludu polskiego z niewolą i uciskiem, czujący jego cierpieniem. Gdy się czyta np. Zycha „Rozdzióbią nas kruki, wrony...“ gdy się wczuje w duszę takiego bohatera — rewolucyonisty starganą cierpieniami Ojczyzny i ludu, któremu myśl o niedoli narodu spokój z umysłu wygania i sen spędzą z powiek, a noc „czarną jak rozpacz“ się przedstawia — gdy się zajrzy w serce bohatera powieści Orkanowych, biednego polskiego górala, tego wygnańca własnej ziemi, skazanego na wieczną nędzę i tułaczkę... wówczas dopiero widać, co znaczy, jak wzruszyć potrafi prawdziwe arcydzieło, stworzone całą potęgą duszy artysty.

A liczba takich upragnionych u nas twórców rośnie... Dziś jeszcze pragnie ich ignorowac zepsuta nasza „inteligencya“, wystawiając na pierwszy plan stare przekwitłe powagi; ale w przyszłości pozazdroszczą nam takich poetów obce narody.

Stanisław Orczyk.

Samouctwo ekonomiczne.

Nie będziemy tu zastanawiali się długo nad doniosłością ekonomii politycznej, nauki, budzącej coraz większe zajęcie, nauki, zadaniem której jest wyjaśnić nam zjawiska życia gospodarczego, które jest podstawą całokształtu stosunków społecznych. Niedawno wyszła książka Władysława Studnickiego Gizberta p. t. „Wykład Ekonomii Politycznej“, która służyć może za dobry bardzo podręcznik dla samouków.

Z dotychczasowych podręczników książka powyższa jest stanowczo najlepszą, wyróżnia się: umiejętnem przedstawieniem rozwoju stosunków ekonomicznych od pierwotnego komunizmu, aż do kapitalizmu współczesnego włącznie: uwzględnieniem wpływów politycznych i narodowych na stosunki ekonomiczne, wreszcie jednolitością i konsekwencyą w poglądach. Czytelnik znajdzie tam wszystkie kwestye sporne, będące przedmiotem ożywionej dyskusyi uczonych i przedstawicieli partyi socyalistycznych.

Książka jest nie duża, ma 295 str., napisaną jest jednak treściwie.

Nie możemy tu wchodzić w rozbiór pojedynczych twierdzeń, gdyż chodzi nam tylko o ogólną ocenę tego podręcznika.

Poznawszy ten podręcznik, należałoby obeznać się z historyą ekonomii politycznej.

Możemy polecić czytelnikom książkę angielskiego ekonomisty Ingrama p. t. „Historya ekonomii“. Praca to niewielka, ale przedstawia dość dokładnie rozwój myśli ekonomicznej.

Dla poznania współczesnego ustroju niezbędną jest cenna praca Jana Hobson'a p. t. „Rozwój kapitalizmu współczesnego“. Autor połączył umiejętnie głęboką znajomość teoryi z bogactwem danych faktycznych. Po przeczytaniu wyżej wymienionych książek można być dostatecznie przygotowanym do czytania „Kapitału“ Marxa.

W polskim języku istnieje tylko tom pierwszy. Nieznający języka niemieckiego mogą II i III tom przeczytać po rosyjsku.

Dla poznania kwestyi agrarnej, niezbędnem jest poznanie różnych teoryi o rencie gruntowej. W przedmiocie tym mamy sumienną pracę Z. Doliwy p. t. „O rencie gruntowej“. Mieści się ona w zbiorze prac tego autora, zatytułowanym „Szkice historyczno-społeczne“.*)

„Agrarfrage“ Kautskyego jest najpoważniejszą pracą o stosunkach rolnych.

Nieznający języka niemieckiego mogą dzieło to, z pewnemi skróceniami ze względu na cenzurę rosyjską, przeczytać po rosyjsku. W czasach ostatnich z powodu głośnej książki Bernsteina, poddającej krytyce niektóre założenia marxizmu — wywiązała się ciekawa polemika.

*) Patrz „Promień“ nr. 3. i 4.

w świecie naukowym. Kautsky napisał książkę przeciwko wywodom Bernsteina.

Obie te prace Kautskiego i Bersteina są już przetłómaczone na język polski i wyjdą jeszcze w tym roku staraniem nowozawiązanego „Polskiego towarzystwa nakładowego“. Towarzystwo to wydało już słynną pracę Sombart'a o socyalizmie.

Poprzestajemy na tych ogólnych wskazówkach. Tych wszystkich, którzyby chcieli szczegółowo zapoznać się z różnymi działami ekonomii politycznej, odsyłamy do III. tomu „Przewodnika dla samouków“, który tylko co opuścił prasę w Warszawie.

Korespondencye.

Z Warszawy,

Statystyka egzaminów.

Rok rocznie młodzież ucząca się staje do boju z egzaminami. Tegoroczny wynik egzaminów w uniwersytecie warszawskim i politechnice był nie bardzo szczęśliwy.

W uniwersytecie było słuchaczy 1144, z tej liczby ukończyło wydział prawny 77, lekarski 73, matematyczny 11, przyrodę 11, filologiczny 8, razem 180.

Mniej więcej wynik tegoroczny przedstawia się jak wykazuje obok umieszczona tabelka.

Liczba kończących wynosi 15,66% ogólnej liczby słuchaczów, liczba słuchaczy, którzy zdali przejściowe egzamina 49,71% ogólnej liczby studentów. Najlepiej przedstawiają się egzamina na wydziale filologicznym, gdyż wszyscy studenci zdali, zatem przyroda, gdzie na wyższych kursach liczba słuchaczów, którzy zdali egzamina mało czem różni się od ogólnej liczby na tych kursach, dalej idzie medycyna, prawo i najgorzej matematyka, gdzie liczba pozostających na drugi rok wynosi 70,94%.

Przy takich niepomyślnych egzaminach zdarzały się wypadki zemdlenia w czasie egzaminów, ataków nerwowych i nawet czasowego pomieszania zmysłów, nie mówiąc o wycieńczeniu i wyczerpaniu sił, gdyż te ostatnie nie dają na razie skutków, lecz będą w przyszłości stawały na przeszkodzie, w dalszym ciągu nauk. W początku maja było podanych do Rady Uniwersyteckiej około 200 podań o odłożenie egzaminów na jesień, z tej liczby uwzględniono zaledwie mniejszą część.

W Politechnice egzamina na pierwszym kursie wypadły niezbyt pomyślnie ze względu na to, że zostać na drugi rok

Kurs	Lekarski w. było	Lekarski w. zdało	Lekarski w. pozost	Prawny w. było	Prawny w. zdało	Prawny w. pozost	Fizyko-matematyczn. w. Matematyka było	Matematyka zdało	Matematyka pozost	Przyroda było	Przyroda zdało	Przyroda pozost	Filologiczny w. odz. Stow.	odd. klas.	odd. hist.
I.	112	72	40	163	81	82	85	12	73	55	26	29	—	9	—
II.	67	40	27	122	69	53	12	5	7	15	9	6	—	10	—
III.	45	42	3	144	99	45	9	6	3	17	16	1	3	2	5
IV.	69	63	6	96	77	19	11	11	3	11	11	1	4	2	2
V.	74	73	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Razem	367	290	77	525	326	199	117	34	83	98	62	36	—	37	—

nie można, tylko choroba może być uwzględnioną.

Wynik ich przedstawia się tak:

		Liczba słuchacz.	Wydalono	Zostało na 2 r.	Odłożono na jesień	Zdało
Mechaniczny w.	I. k.	101	27	10	13	51
	II. k.	93	—	18	23	52
Inżynieryjny w.	I. k.	107	29	15	14	49
	II. k.	49	--	12	5	32
Chemiczny w.	I. w.	64	8	8	4	44
	II. w.	48	—	8	9	31
Razem		462	64	71	68	259
Co stanowi do ogólnej liczby		—	13,85%	15,36%	14.71%	56,06%

Wobecj ukończenia niektórych gmachów budu ącej się Politechniki II. i III. kurs będzie przeniesiony do nich, a I. pozostanie na dawnem miejscu tj. w gmachu, niegdyś fabryce tytoniu, potem koszarach wojskowych.

Przez ministeryum oświaty zostało zatwierdzone czasowe rozporządzenie ministra oświaty, wydane w końcu wakacyi przeszłego roku, na mocy którego **maturzyści będą mieli prawo wstępowania do uniwersytetu tylko swego okręgu naukowego, co uniemożliwi przypływ słuchaczów-Polaków do uniwersytetu warszawskiego. Odtąd Litwini, Żmudzini i Białorusini będą zmuszeni uczęszczać na uniwersytety petersburski, moskiewski i jurjewski (dorpacki). Rozporządzenie to wydane było z powodu rozruchów studenckich 1898/99 roku, by zrównać liczbę słuchaczów wszystkich uniwersytetów.**

Obserwator.

Z Tarnopola.

Nadeszło wreszcie dla nas święto. Święto, które ziściło nasze marzenia młodzieńcze, które pozwoliło nam zrzucić duszącą skorupę jałowej, niewolniczej uległości dla wszystkiego, co przez lat wiele krzyżowało wszystkie nasze pragnienia i nadzieje -- święto, które nas wprowadza na nowe drogi, i pozwala stanąć pod hasłami, widniejącemi na sztandarach najpostępowszej naszej braci-młodzieży. I przystosowując się do nowych warunków, chcemy z bracią naszą prawdziwie pracować, nie wygłaszać tylko pięknie brzmiących frazesów, ale pracować tak, aby praca ta już sama przez się zbliżyła i utrwaliła w nas rzeczywiście pragnienia i chęci tych, którzy z zaparciem się siebie samych — nam swe również młode siły poświęcają.

A poświęcenie to, to ziarno światła i prawdy, rzucane na glebę młodą, wydaje plon nie pomyśli tych, co nas „prowadzili" przez życie szkolne, tych, którzy byli naszymi „wychowawcami", a którzy zamiast światłem, karmili nas zbyt często szkodliwą nieprawdą i wykorzeniali każdą myśl swobodniejszą, nie ujętą w klauzulę „wychowawczą". Toteż panowie ci, zapewniamy ich, nie znajdą dziś w naszych sercach uznania przyjaźni, choć się o nią tyle lat „usilnie starali"! Tyle lat trzymali umysły młode, rwące się do pracy, pod ciężkiem wiekiem duchowej niewoli, — tyle lat tłumili wszelkie szlachetniejsze porywy, tak długo zalewali każdy objaw wykwitającego życia, że, mimo oporu, wielu zniechęcili do wszelkiej pracy umysłowej, odebrali wiarę we wszelkie ideały — a stworzyli cały zastęp „samolubów, nie lgnących do fali".

Granice osobistego zadowolenia przekroczyło jednak kilku „zuchwałych". Ci

odważyli się wierzyć, że zaparcie bezosobiste dla ideału unosi się nad dobrą posadą i złotym kołnierzem; że nie wystarcza znać Sofoklesa albo wybębnić tę lub ową formułkę mniej lub więcej dobrze ale że czeka ich życie, praca, dla której nie pedantyzmu potrzeba ale wzniosłego i pełnego poświęceń społecznego altruizmu.

I ci poznali prawdziwych przyjaciół — i odłączyli ich od tych, co argusowem okiem i dwójką do pracy zachęcali.

Tym winniśmy tem większą wdzięczność i szczerszą przyjaźń, że mimo niezbitej argumentacyi przyjaciół — pedagogów prawdziwie po ojcowsku kierowali tą młodzieżą, „która na żadne względy nie zasługiwała".

A nie zasługiwała dla tego, że bez pozwolenia chodziła do teatru, a szczególnie na H. „Dzwon zatopiony", „gdyż ta farsa działa ogromnie demoralizująco na młodzież"*), dlatego, że na wieczorku Mickiewiczowskim mówiono o odezwie Wieszcza do Legionów i ważono się mówić o jakimś tam duchu-rewolucyoniście.

I ci panowie przeniknięci jadem z „góry" płynącym,*) stoją na czele młodzieży i mają jej drogę wskazać! Na szczęście i w tym wypadku skutek jest wprost przeciwny temu, jaki ci, mieniący się pedagogami „ojcowie młodzieży" osiągnąć chcieli.

Bo w nas tli iskra prawdy; a chociaż tak długo i z taką zwierzęcą zaciekłością tłumiona — nie zgasła i coraz jaśniejsza i coraz większa i coraz cieplejsze rzuca promienie, aż wreszcie tryśnie wielkim, świętym ogniem miłości ku wszystkiemu, co piękne. Silni młodością i potężni ideą, mimo oporu z falą popłyniemy, gdyż „słońce wiecznie świeci, nie wstrzyma kropla pędu fal, ni chwila — dzieł stuleci!

Edmund Borecki.

---

*) Odpowiedź prof. języka polskiego Staniewicza, dana uczniom podczas pobytu lwowskiej trupy dramatycznej w Tarnopolu.

*) Opuszczamy w tem miejscu słowa zbyt jaskrawe, które zapewne autorowi korespondencyi uniesienie podyktowało.

Z Odesy.

Istnieje w Odesie 5 gimnazyów klasycznych, parę szkół realnych i komercyjnych, szkoła morska, tyleż jeśli nie więcej zakładów żeńskich, szkoła artystyczno-rysunkowa dla obu płci, szkoły rzemieślnicze i miejskie 6-cio klasowe, a w nich Polaków jest sporo i liczba czytelników „Promienia" mogłaby wzrastać.

Uczniowie jednak odescy, znając się, gdyż często spotykają się wszyscy na t. z. „przeglądzie katolickim" w kościele, dokąd uczęszczają regularnie i pobożni i nie pobożni, — nie lubią się łączyć. Odgrywa tu rolę pewną tchórzostwo, obawa przed słowem „kółko", „organizacya", „zebranie". Cel taki jak biba lub spacer pociągnąć może dziesiątki, dla wspólnego czytania trzech ledwie zebrać się potrafi. Ale i tu rutyna stoi na przeszkodzie: „my jesteśmy zbyt młodzi, za głupi". Nam trzeba zaczynać od a, b, c. Czytać trzeba gramatykę, historyę polską z podręcznika"... Naturalnie, że takie czytania długo trwać nie mogą. Tymczasem kółka rosyjskie funkcjonują znakomicie i wybitniejsi Polacy do nich należą, czytają tam dzieła naukowe, poważnych myślicieli, jak Bokl, Spencer, Marks i nikomu na myśl nie przyjdzie, że to być może nie stosowne. Tak smutny stan rzeczy da się tem wytłómaczyć, że młodzież odeska to głównie dzieci rodzin zamożniejszych, stosunków z warstwami ludowemi nie mają, martwieją w sybarytyzmie. Gramatyka i historya — oto zakres ich dążności. To też z całą sympatyą powitać należy takie artykuły jak mowa Amicisa.*) Zrobiła tu ona wielkie wrażenie.

STEP.

Szkic.

Mieszczuchu! opowiedzieć ci chcę o tem, czego nie znasz i czego nie zrozumiesz, o czem jednak pewnie słyszałeś i czytałeś, — opowiedzieć ci chcę o stepie.

Pięknym on jest i wart widzenia, a ludzie, których on wykołysał nie podobni

---

*) „Promień" nr. 10 i 11.

są do Was. Wasza nerwowość, wasza drobiazgowość, wasza ambicya, która jest zbiorem drobnych jak pył ambicyjek, wasza nadczułość... o takich rzeczy tam nie ma; niema tam nadludzi, niema tam naduczuć, niema nadmyśli — są zaś ludzie tylko, a jednak ich uczucia i myśli są głębsze i silniejsze od tych waszych nad — wymysłów.

Syn stepu między wami czasem śmiesznym jest, a nigdy nie imponuje: nie umie on jeść, jak wy jecie, nie umie chodzić, jak chodzicie, nie zna nakoniec waszych tysiącznych spraw, o których ciągle mówicie, którėmi się z zapałem zajmujecie i czasem macie za złe dzikusowi, że wam w tej robocie pomagać nie chce. Ale dzikus nie umie się zastosować do tego wszystkiego, co mu się często wydaje jakiemś małem i kruchem, a czego pomimo wszystko, on chciałby się nauczyć, co chciałby zrozumieć. Więc słucha, uczy się, a tymczasem milczy.

Czy się nauczy? — Zapewne, ale to długiej nauki potrzeba na to i trzeba zapomnieć w dodatku o stepie, swej niańce, o przestworzu bezmiernym a czystym i jak nieskończoność nieskazitelnym. Dzikus jednak choćby myślą wróci na swe stepy, by tam uczuć się panem swych czynów i myśli, by w marzeniach zapomnieć o mrowisku miejskim z jego zabiegami, walką, z jego nawet altruizmem i poświęceniem.

— O, patrz, jaki on piękny! Naokół, jak tylko okiem sięgnąć można, równina zlewa się łagodnie z nieba błękitem Niema tu ani kamienic, ani kościołów, ani chat nawet mizernych, — nawet drzewa nie widzisz nigdzie; trawa tylko miękka kwieciem natykana, pochyla nieustannie swe główki pod lekkiem tchnieniem wiatru. Naokół niema nic, nic... a ja z wysokości swego niestrudzonego bachmata jestem jak król na tym stepie.

Ale znów nie myślcie, by tak nic nie było na stepie, — nic, tylko tu trotuarów nie ma, policyantów nie ma, nie ma kanałów odpływowych, niema skrzyni ze śmieciami....

Podemną, nademną, koło mnie, naokół życie wre w całej pełni. Tuż pod nogami mego konia skaczą koniki polne; szarańcza przelatuje opodal, błyszcząc w słońcu swemi przeźroczystemi skrzydełkami: duży, czarny żuk uderzywszy mi się o piersi, upadł na ziemię. O kilka kroków dalej z pomiędzy zielonych traw, wyziera niewielki kopiec świeżej, wilgotnej jeszcze ziemi: jakaś niewidzialna ręka coraz go zwiększa i rozszerza. To kret cichy, podziemny pracownik. Slepy jest, nie imponuje nikomu, nie wie, że jego praca wielkie przynosi korzyści, a jednak bez tego niestrudzonego pracownika nie wiem, czy step wyglądałby tak pięknie i zdrowo. Tam znów suseł stanąwszy nad swą norą na tylnych łapkach i figlarnie oglądając się naokół, gwizdnął, jakby nawołując kogo i znikł pod ziemią. Z kępy wysokich, przeszłorocznych traw wyskoczył mały miesięczny zajączek i ujrzawszy mnie, popędził położywszy uszy po sobie. Kilka pardew porwało się opodal; dźwięczny a silny świst ich skrzydeł długo jeszcze słychać było. Zdala od jakiegoś stepowego jeziora dolatywał mnie jękliwy głos czajki: pewnie ktoś zbliża się do jej gniazda — myślałem — a ona z narażeniem życia, jękiem swym przeraźliwym stara się zwrócić na siebie uwagę wroga, by następnie odprowadzić go daleko od gniazda. W niewielkiej kotlince, o jaki kilometr odległej, kilkanaście orłów i sępów stepowych szarpało ścierwo końskie. Ogromne te ptaki biły się między sobą machając skrzydłami. Kilkanaście jeszcze krążyło w powietrzu, a przybywało ich coraz więcej, bo z wysokości pod chmurami, w której się zwykle znajdują, łatwo im dojrzeć na wielką odległość, w której stronie stepu wetę im przygotowala natura. Te ogromne ptaki, dumne i spokojne w poczuciu swej siły, które nie poruszają wcale olbrzymiemi skrzydłami, szybują w powietrzu, spuszczając się na ziemię lub podnosząc do chmur bez najmniejszego, zda się, wytężenia, imponują mi zawsze. Są one uosobieniem energii dumnej, spokojnej a niezachwianej.

Z kolei roślinność zwraca moją uwagę. ... Aż mi się czasem przykro robi, gdy mój koń nastąpi na jaki piękny kwiat, godny figurować w wazonach i oranżeryach, gdy roztrąca brutalnie nogami czerwone koniczyny, fioletowe dzwon-

ki i tysiące innych kwiatów, których nie umię nazwać, bo i kogożbym zapytał? które jednak znam tak dobrze.

Posuwając się naprzód powoli, wjeżdżam na pole, które jak okiem zajrzeć, jest pokryte pachnącemi, dojrzałemi truskawkami. Całe powietrze przepełnione jest tu ich wonią. Tratując nielitościwie piękne jagody, wjeżdżam znów w całe gaje i lasy karłowatych, dzikich wisień, moreli i żółtych akacyi. Z tych krzaków porywa się niespodzianie stado kuropatw i zamąca na chwilę przeraźliwym swym wrzaskiem i trzepotem spokój mój i mojego bachmata. Nakoniec wydostaję się z krzaków i mam przed sobą równiejszą przestrzeń tylko korylem*) pokrytą. Koryl właśnie kwitnie teraz, a cała ta przestrzeń kwitnącego stepu, zdaje się być przypruszoną lekkim, białym puchem. Tu zatrzymuję konia, a uwiązawszy go na arkanie do krzaku wiśniowego, oddaję się w zupełności myślom swym i uczuciom.

Słońce chyli się ku zachodowi; kilka chmurek o złoconych brzegach przesuwa się wolno, zakrywając chwilami jego tarczę. Step się uspokaja; ale ten spokój nie jest ciszą absolutną, przeciwnie – teraz step cały szepce coś tajemniczo i uroczyście. Krzyki, nawoływania, gwizdy, które dniem zupełnie oddzielnie wyrywały się z ciszy stepowej, które były czasem ostre i przeraźliwe, czasem tak głośne i niespodziewane, że drgnąć musiał człowiek, wyrwany niemi z zadumy, teraz w tym półmroku wieczoru, utracają swoją ostrość i krzykliwość, zlewając się z sobą w jakiś cudowny, harmonijny akord. Całe powietrze drga dźwiękami tego akordu przyrody. Te dźwięki, te szmery, te szepty powoli wchodzą mi w duszę, w serce, opanowują myśli, przesiąkają całą moję istotę, i zda mi się wtedy, że cała ta ziemia, przepojona fioletowemi blaskami zachodu, cały ten step nieskończony, wszystko co żyje naokół mnie, modli się teraz. Czuję wtedy, że w tym bezmiarze nieba i stepu jestem cząstką bardzo małą, a zarazem czuję, jakąś wdzięczność do tego bezmiaru za jego istnienie. Coś mi wchodzi w piersi i zaczyna je rozpierać, każe mi wznieść ręce do góry i wykrzyknąć w uniesieniu:

— „O, Ałłach! Ty co wszystko przenikasz, bądź pozdrowiony! O, Siło wielka, co w swym bezmiarze nieskończenie się przetwarzasz, dzięki której jam te przetwory mógł widzieć i zrozumieć, — bądź pozdrowiona!.... O, Ałłach!....“

Czy mógłbym inaczej się modlić?... czy mógłbym te siły nieskończone prosić o coś, targować się z niemi, jak to czynią w miastach ludzie, co idą z książkami do swoich kościołów? Czy śmiałbym sylabizować z wytartych kartek oklepane, miliony razy powtórzone modły błagalne? Czyż śmiałbym ja, marna istota, wywlekać swe drobne bóle i zmartwienia – wywlekać tu przed tym Bezmiarem, tą Nieskończonością?.... Nie, w tej chwili byłoby to bluźnierstwem, — w tej chwili ja mogę tylko przyłączyć swój głos do głosu całej przyrody i w uniesieniu wielbić i sławić.

...„O, Ałłach!... o, Akbar!...“

Tymczasem wieczór coraz więcej przynosi spokoju i senności. Dziękczynny chór przyrody ucicha powoli: nakoniec staje się on tak cichy i subtelny, że go raczej odczuwam, niż słyszę. A razem z zamieraniem szmerów stepu i w duszę moją wstępuje spokój — taki wielki, bezmierny spokój. Ręce wzniesione do góry opadają, i stoję tak jeszcze w niemej kontemplacyi pogrążony. Od czasu do czasu twarz moją muska lekki powiew dziwnie ciepłego wiatru. Zdawałoby się, że pochodzi on z jakichś olbrzymich, niewidzialnych piersi, które lekko chuchają na mnie. Naokół wszystko już spi, więc i ja zawinąwszy się w szeroką burkę, kładę się na trawę. Z twarzą zwróconą do nieba długo pozostaję w pół śnie... Cicho jest, cicho, cicho... tylko koń mój chrupie trawę, lub zaszeleści skrzydło lecącego ponad ziemią nocnego ptaka....

Powoli nadchodzi sen i nakoniec miękką jak podmuch ciepłego wiatru ręką zakrywa mi oczy.

. . . .

....Sen? Tak to sen tylko.

---

*) Koryl — trawa stepowa.

Bibliografia.

Zarys podstaw Socyologii ogólnej, napisał Ludwik Kulczycki. Lwów 1900 r.

Książka ta obejmuje zwięzły zarys najważniejszych zagadnień nauki o społeczeństwie.

W przedmowie do swego dzieła autor zaznacza swe stanowisko w ten sposób, że występuje zarówno przeciwko panującym dziś poglądom o powszechnej żywiołowości i samorzutności zjawisk społecznych, jak i przeciwko twierdzeniu, że z każdem społeczeństwem, w każdym czasie wszystko zrobić można drogą zewnętrznego oddziaływania pod postacią praw pisanych.

W pierwszej części swej pracy autor zajmuje się określeniem zadań socyologii i jej metodą. Autor jest zwolennikiem metody historyczno-etnologiczno-porównawczej, jedynej metody dającej gruntowną, bo faktyczną podstawę nauce.

W drugiej części autor stara się przedstawić w najogólniejszych zarysach rozwój form społecznych: od najniższych szczebli rozwoju, od hordy pierwotnej, aż do współczesnego typu społecznego życia. Zgodnie ze swym poglądem, że socyologia jest nauką ogólną o typowych zjawiskach społecznych, autor w przedstawieniu rozwoju form życia zbiorowego zatrzymywał się tylko na zjawiskach ogólnych, właściwych wszystkim społeczeństwom w pewnej fazie rozwoju. Pominął zaś zjawiska spotykane rzadko u poszczególnych tylko społeczeństw.

Autor stosunkowo najobszerniej przedstawił przejście od społeczeństwa rodowego do monarchiczno-despotycznego lub stanowego, zapewne dla tego, że późniejsze przeobrażenia społeczne są względnie więcej znane.

W tejże części autor opisuje rozwój rodziny, zastanawia się nad państwem i narodowością.

Najciekawszą i najlepiej opracowaną jest część III, o przeobrażeniach społecznych.

Pierwszy rozdział tej książki poświęcony jest materyalizmowi socyologicznemu. Autor rozróżnia materyalizm socyologiczny od historycznego. Socyologia ma do czynienia z zasadniczemi formami życia społecznego, powtarzającemi się u różnych narodów w pewnych fazach rozwoju.

Czynnik ekonomiczny na formy zasadnicze społeczeństwa wpływa daleko silniej i bezwzględniej, niż na poszczególne fakty i instytucye historyczne u konkretnych narodów.

Dla tego też materyalizm w socyologii większą ma donioslość niż w historyi.

Autor stara się ściślej, niż to było robionem dotychczas, określić granice wpływów ekonomicznych na różne sfery życia społecznego.

W rozdziale o formie przeobrażeń społecznych autor sformułował warunki, przy których przeobrażenia społeczne noszą charakter żywiołowy, świadomy, lub nieświadomy.

Ważnym jest główny wniosek, do którego doszedł autor, to jest że: formy ekonomiczne mogą ulegać zmianom bez świadomej zbiorowej i skoordynowanej akcyi społecznej; nie da się natomiast tego powiedzieć o formach politycznych, które przeobrażać się mogą tylko dzięki świadomej działalności ludzi zorganizowanych.

Nie możemy powtarzać tu argumentacyi autora, która jest zwięzłą.

W rozdziale o stałych i zmiennych celach społecznych autor występuje przeciwko niektórym ogólnikom socyologicznym utartym a szkodliwym.

Następnie autor mówi o postępie i upadku akcyi i reakcyi w społeczeństwie.

Część IV poświęconą jest zagadnieniu o indywidualizmie.

Autor sądzi, że w miarę rozwoju cywilizacyi indywidualizm jednostek wzrastać będzie. Tu autor obala znaną teoryę Tarde'a o mniemanej powszechnej niwelacyi w przyszłem socyalistycznem społeczeństwie.

Autor wykazuje, że demokratyzacya społeczna, która doprowadzi do socyalizmu, wzbogaci tylko bogactwo życia duchowego jednostek.

W ten sposób autor odpiera rozpowszechniony zarzut, iż demokratyzm prowadzący do socyalizmu stworzy koszaro-

wą organizacyę społeczną, w której zginie niby wolność i oryginalność ludzi.

W rozdziale o geniuszach i ludziach wybitnych, autor występuje przeciwko rozpowszechnionym dziś poglądom, że pojedynczy człowiek wybitny pod względem swej organizacyi psychicznej, nie może nic zdziałać.

Dalej autor przechodzi do anarchizmu, który poddaje ostrej krytyce.

Ostatnia część poświęconą jest socyologii i polityce.

Nie streszczamy tu pracy p. Kulczyckiego, zaznaczamy tylko jego zasadnicze poglądy.

Cała książka stara się uzasadnić twierdzenie, że społeczeństwo rozwija się i postępuje naprzód nie wyłącznie pod wpływem żywiołowych sił społecznych, tkwiących w życiu gospodarczem, lecz także pod wpływem świadomej i planowej działalności grup ludzkich, iż ta ostatnia będzie z biegiem czasu odgrywać coraz większą rolę.

Autor występuje przeciwko płytkiemu optymizmowi, według którego wszystko w rozwoju społecznym odbędzie się dobrze na drodze stopniowych zmian pokojowych.

Wykazuje możliwość ciemnej reakcyi, którąby cofnęła społeczeństwo wstecz.

Socyologia p. Kulczyckiego jest socyologią akcyi i realizmu, w przeciwstawieniu do socyologii bierności i fatalizmu optymistycznego.

Książka zawiera przeszło 265 stronnic, napisaną jest zwięźle i przystępnie. Tylko rozdział drugi części pierwszej jest nieco trudniejszy ze względu na przedmiot, o którym traktuje.

Czytelnik chcący się zapoznać z dzisiejszym stanem socyologii, w książce, o której mówiliśmy wyżej, znajdzie odpowiedniego przewodnika.

S. Galicki.

Dr. Zofia Daszyńska-Golińska: Przełom w socyalizmie. 1900 r.

Autorka starała się poddać analizie krytycznej zasadnicze twierdzenia socyalizmu naukowego. Dyalektyczna metoda badań społecznych, materyalizm ekonomiczny, teorya wartości Marxa, koncentracya kapitałów, stosunki agrarne, znaczenie czynników etycznych i kwestya przyszłej rewolucyi społecznej, oto przedmioty, nad którymi autorka zastanawia się w pracy swej.

Pani Daszyńska-Golińska zna gruntownie swój przedmiot, posiada rozległą wiedzę; dla tego też w pracy swej uwzględniła całą prawie literaturę przedmiotu.

W studyum dr. Daszyńskiej-Golińskiej odróżnić należy, że tak powiemy, część opisową od części praktycznej.

Autorka stara się najpierw zapoznać nas z współczesnym ustrojem społecznym, z temi siłami, które w nim działają, z rozwojem kapitalizmu w przemyśle i rolnictwie. Wywody autorki w tej części jej pracy są w znacznym stopniu słuszne.

Nie ulega wątpliwości, że głębsze wniknięcie w rozwój kapitalizmu i w doktrynę Marxa pokazało, że ta ostatnia wymaga dopełnień, a nawet znacznych poprawek.

Dla tego też wywody dr. Daszyńskiej-Golińskiej w tych sprawach w większości wypadków są słuszne, jak i wywody Bernsteina, które miały ogromny wpływ na naszą autorkę. Jeżeli jednak od teoryi przejdziemy do praktyki, to zdanie nasze o wywodach dr. Daszyńskiej - Golińskiej ulegnie zmianie.

Tak samo jak Bernstein, tak i nasza autorka dowodzi przeciwko rewolucyi z faktu, że kapitalizm nie rozwija się zupełnie jednolicie, i że nie doprowadzi drogą samorzutnego rozwoju do ogólnej koncentracyi kapitałów umożliwiającej socyalizm.

Podobny wniosek nie jest wcale konieczny wobec faktów przez autorkę przytoczonych.

Przedewszystkiem jak daleko sięgniemy okresu wstecz, żaden ustrój społeczny nie rozwinął się żywiołowo drogą samorzutnej ewolucyi. Zawsze i wszędzie obok ogólnych żywiołowych tendencyi występowała walka polityczna świadoma, przeprowadzająca siłą pewne zmiany. Dla czego mamy przypuszczać, że z ustrojem socyalistycznym będzie inaczej.

Prawdą jest, że kapitalizm rozwijając się samorzutnie do socyalizmu nie doprowadzi, ale właśnie zadaniem polityki, rewolucyi będzie opanować te niekiedy sprzeczne tendencye kapitalizmu i nagiąć je do swoich celów.

Jest to zupełnie nieuzasadniony optymizm, kiedy się twierdzi, że bez gwałtownych wstrząśnień społeczeństwo da się z gruntu zreformować.

Naturalnie nie będzie jednej rewolucyi, która jednym zamachem wszystko przerobi: niewątpliwie jednak będą rewolucye, zaprowadzające doniosłe i poszczególne zmiany w ustroju politycznym i społecznym.

Autorka dużo mówi w pracy swej o etyce, wszystko to jest jednak niejasne.

Zdaje się, że autorka nie zdaje sobie dokładnej sprawy z granic, w jakich czynniki etyczne wpływ wywrzeć mogą.

Dziwi nas, że autorka chwali płytkie i bałamutne metafizyczne płody p. Walczewskiego.

W każdym razie „Przełom w socyalizmie“ zasługuje na przeczytanie.

L...

Dyalogi warszawskie.*)

Między czwartą a szóstą.

Dzwonek. W uchylonych drzwiach ukazuje się służąca.

— Proszę pana przyszedł jakiś uczeń.

W przedpokoju słychać chrząkanie, suwanie nogami.

— Niech kolega wejdzie. Czem mogę służyć.

— Daruje pan... jest to śmiałość... ale doprawdy pan tyle w nas młodych zaufania wzbudza...

— Dumny jestem z tego...

— Mam tu maleńki rękopis... ciekaw jestem zdania pańskiego...

— Nowela?

— Ale niebardzo długa, słowo honoru...

— Czy pan od dawna pisuje?

— Tak... od roku...

— Pan jest uczniem szkoły realnej?

— W istocie. Jestem uczniem szóstej klasy.

— Ile pan ma lat?

— Dziewiętnaście.

— Co pan czytał?

— Co czytałem?... Czytałem Przybyszewskiego, Maeterlincka...

— Przepraszam, pan jesteś młodzieńcem, kierującym się na polskiego pisarza. Chodzi mi zatem o to, czy pan rozczytywał się we wzorach naszej literatury?

— Przybyszewskiego czytałem po polsku a Maeterlincka w przekładach Miriama.

— Czy pan czytał kazania Skargi?

— Proszę pana... przecież należy umysł kształtować na kierunkach współczesnych...

— Bardzo kolegę przepraszam, ale na pierwszej stronnicy jego noweli znajduję dwa takie zdania: „Franiu, spiesz, bo spóźnisz pocztę“ — a nieco niżej: „to nie moje dzieło, mój kochany“. To jest istotnie bardzo współczesny kierunek, a zawdzięczamy go z jednej strony skasowaniu polskich szkół, a z drugiej strony literatom i krytykom, podającym nam do rąk Maeterlincków. Czy pan czytał co Reja?

— Nie, nie czytałem, ale wiem, że to był pisarz...

— A Kochanowskiego?... Więc nie?.. A Górnickiego? Modrzewskiego?... Nie?... Może Krasickiego?

— Tak, tak, proszę pana, bajki... mama nas uczyła... aleśmy jeszcze byli mali...

— Więc Brodzińskiego... No, to Malczewskiego...

— Maryę, proszę pana...

— Kiedy pan czytał Maryę?

— A to tak przed trzema laty.

— A ile razy pan czytał?

— Jakto, ile razy? Przeczytałem...

— Raz i koniec? Czy tak samo pan czytał Mickiewicza?

— Umiem grób Agamemnona na pamięć...

— To ze Słowackiego. A z Mickiewicza?

---

*) Rzecz tę otrzymaliśmy w ostatniej chwili od jednego z poetów warszawskich, którego nazwisko, w razie nadesłania pozwolenia, wymienimy w wrześniowym numerze. *(Red.)*

— Proszę pana... kiedy zaczynają mówić, że to stary sposób pisania...

— A „spóźnisz pocztę“ jest nowym sposobem pisania. Wiem. Czy jednak... O co panu chodzi?

— Przepraszam, że przerywam, ale... Mnie się zdawało, że pan będzie krytykował idee, myśli, a pan tak po szkolarsku...

— Tak, ja tak po szkolarsku.

— Ja tego nie rozumiem.

— I to jest prawdziwem nieszczęściem naszem.

— Dlaczego nieszczęściem?

— Bo język nasz ubożeje, staje się podobnym do płaszcza dziadowskiego, do łachmana żebraczego narodu, okrywającego wprawdzie bardzo szlachetną duszę, ale coraz mniej swojską...

— Więc pan nie przeczyta mojej noweli?

— Nie, kolego, dopóki kolega nie przeczyta naszych wspólnych kolegów...

— Jakto??

— A Reja, Kochanowskiego, Modrzewskiego, Górnickiego, Krasickiego..

— Przepraszam pana...

— Sługa...

* * *

Znowu dzwonek.

— Proszę pana, jakaś panienka.

— Proś. — Czem mogę pani służyć?

— Jestem: Aniela Krzetowska.

Wymiana ukłonów. Młoda dama siada i poczyna wybitnie kresowym akcentem:

— Proszę pana, urodziłam się na wygnaniu W Baku, proszę pana. Tak mnie rodzice oddali najpierw do szkoły, jaka była. Tak ja potem aż do kursów w Petersburgu doprowadziła i pisała najpierw po rusku. A koledzy się dziwili, że ja tak piszę po rusku I ja furt pisała po rusku eskizy, baśnie. a po polsku to ja prawie nie umiała. Ale teraz od roku to ja w Warszawie, więc ja zaczęła pisać po swojemu. Bo jak tu nie pisać po swojemu dla swoich? Piszę i piszę a mnie powiada koleżanka: co ty tak piszesz a piszesz, puść w świat, niech co z tego będzie! Tak ja umyśliła puścić w świat, ale pierwej rzekłam sobie, poradzę się kogo mądrego. I przyszłam do pana, gdzieby to wydrukować.

Rozpoczęły się zwyczajne indagacye.

— Ile pani ma lat?

— Dwadzieścia.

Co pani czytała?

— Tołstowo czytałam i Szczedrina czytałam i Dostojewskawo...

— Dostojewskiego, Tołstoja, chciała pani powiedzieć.

— Proszę pana, według gramatyki mówi się: czytać — co? Dostojewskawo, Tołstowo.

— Ależ pani przypadkuje po rosyjsku a nie po polsku!

— To się przypadkuje inaczej? Nie wiedziałam. Mnie mówili, że tak jest dobrze.

— Co pani czytała po polsku?

— Nic proszę pana. Ta kiedy?

— I pani chce pisać po polsku?

— Dlaczego bym nie miała pisać po polsku?

— Prawda! W Anglji, Francyi, Niemczech każdy musi pisać nietylko poprawnie, ale i pięknie. Tylko w jednej Polsce każdy z pianą na ustach broni swego prawa zapaskudzania literatury...

— Bardzo pana przepraszam...

— Sługa pani...

* * *

Dzwonek.

— Proszę pana, jakiś...

— Nie puszczaj... jestem chory...

— O jej, już nie puszczę, ale co panu je?

— Mówi się: co panu jest?

— Owa... Ale — pan jeno ciągiem choruje. Może po dochtora?

— Widzi Maryanna, jak się jest w Warszawie, to „ciągiem“ dzieje się coś takiego, że człowiek choruje..

— Proszę pana, to trzeba się wziąć w sobie...

— Święta prawda, Maryanno, trzeba się „wziąć w sobie“...

Wiec maturzystów.

Zainteresowanie wiecem daleko większe niż w roku poprzednim; jednak z powodu zmiennej pogody liczba uczestników z początku mała. Pocieszającym za to objawem jest fakt, że ogromną większość wśród nich stanowią maturzyści, przybyli nawet z prowincyi. Przyjeżdżają komisarze — wiec się rozpoczyna. Liczba uczestników ciągle rośnie i wreszcie przewyższa liczbę 150 osób.

Zagaja wiec pięknem przemówieniem kol. Galica. Zaznacza, że tegoroczny wiec jest niejako dalszym ciągiem zeszłorocznego; z radością spostrzega postęp, w przybyciu około cztery razy większej liczby uczestników-maturzystów, w wysyłaniu telegramów z życzeniami od kolegów, którzy z powodu różnych przeszkód na wiec przybyć nie mogli.*) Prowincya właśnie licznie się stawiła. I tak n. p. przybyli koledzy-maturzyści z Jarosławia, Tarnopola i Krakowa, z którego przyjechały też i dwie maturzystki.

Rokrocznie nowy zastęp młodzieży wchodzi w społeczeństwo. Młodzież ta przez dłuższy czas musiała dusić w sobie każde wolniejsze słowo, by uniknąć szykan. Obowiązkiem starszych kolegów jest dać tej młodzieży sposobność publicznego wypowiedzenia się i porozumienia celem dalszej pracy na przyszłość, a społeczeństwo ma prawo żądać, aby młodzież istnienie swe zaznaczyła jakimś czynem pięknym i szlachetnym. Jeśli bowiem rzucimy okiem na życie publiczne w Galicyi, widzimy z jednej strony mrok, śród którego tańczą ludzie około złotego cielca, depcząc wszelką uczciwość i etykę, a z drugiej strony słońce wschodzi, wiosna idzie, siewców trzeba, by rzucali ziarno w glebę na nowy plon, plon dla wszystkich. To zadanie siewców ma spełnić młodzież, lecz na to potrzeba wspólnego porozumienia się, publicznej spowiedzi.

Następnie wybrano przewodniczącym kol. Wyrostka, zastępcą maturzystę kol. Pruszkowskiego, na sekretarzy powołano kol. Wł. Kobaka maturzystę z Tarnopola i kol. Osostowicza, maturzystę z Jarosławia.

Pierwszy referat, „Młodzież a społeczeństwo“ bardzo uczuciowo, porywająco prawie wygłosił kol. Wyrostek. Z naciskiem podniósł, że młodzież powinna się zająć kwestyą społeczną, bo ona jest opoką, na której ma stanąć gmach przyszłości. Społeczeństwu polskiemu rozszarpanemu przez brutalną przemoc na trzy krainy łez i krwi, trzema łańcuchami kordonów, potrzeba jednostek zdolnych do bezgranicznych poświęceń, w rodzaju Mickiewicza, Szymona Konarskiego, aby przynajmniej szczupła stosunkowo garstka młodzieży, która na wiec przybyła, dając dowód swego zainteresowania się tak ważnemi kwestyami, brała z nich przykład w życiu i choć w części starała się im dorównać!

O „Młodzieży żeńskiej wobec studyów wyższych“ mówiła w zastępstwie maturzystki z Krakowa, (która mimo zobowiązania na wiec przybyć nie mogła) koleż. Jawicówna.

Mimo nieprzychylnego ze strony sfer miarodajnych prądu dla ruchu kobiecego, mimo chęci trzymania kobiety, jak lalki, w salonach, mimo spętania jej węzłami zacofanej konwencyonalności, przecież ten ruch powoli lecz stale i u nas się rozwija i przebojem zdobywa swe prawa. Oto w niedalekiej przyszłości dostępnemi będą dla kobiet medycyna i filozofia a więc otwiera się też dla nich i nowe pole pracy publicznej do której prelegentka stosunkowo licznie zebrane maturzystki gorąco zachęca.

W następnym referacie „Biurokratyzm a wybór zawodu“ wykazuje kol. Odrzywolski (maturzysta) zgubne dla społeczeństwa naszego skutki zbiurokra-

---

*) Dwa telegramy, które wprost na wiec przybyły, jeden z Krakowa, drugi z Rzeszowa odczytano:

1). „Życzymy Wam serdecznie pomyślnych obrad! Niechaj świeży zastęp młodzieży zasili szeregi tych, którzy walczą o prawdę, wolność i sprawiedliwość! — Za zarząd „Ruchu“ stow. postęp. młodz. w Krakowie Klemensiewicz, Bobrowski, Koszutski.

2). Z Rzeszowa: Z powodu zajęć przybyć nie mogę. Kolegom zebranym na wiecu serdeczne zasyłam pozdrowienie Ulkowski.

tyzowania tz. inteligencyi. Ludzie stają się maszynkami, których ideałem karyera. Dlatego każdy powinien się starać o zdobycie sobie samodzielnego, niezależnego stanowiska, by mógł i dla społeczeństwa jakąś korzyść przynieść.

Ostatni punkt programu „Młodzież polska w trzech zaborach“ omawiał kol. Pruszkowski. Młodzież „księstwa“ podobnie jak i społeczeństwo tamtejsze biernie-opozycyjna, nie zajmuje się życiem politycznem, nie organizuje się, wskutek czego bez jej protestu przeszedł fakt tak oburzający i potępienia godny jak odtrącenie daru Górnoślązaków przez hr. Tarnowskiego. Młódź galicyjska karyerowiczowska, rozbita na partye i apatyczno-egoistyczna, ale już wśród niej są nieliczne, lecz wielkie poświęceniem jednostki; podobnie jak młodzież z pod zaboru rosyjskiego która nie złamana prześladowaniami walczy o niepodległą, demokratyczną Polskę, wraz z Rusinami dźwigającymi się do walki o niepodległość Ukrainy; do łączności z nimi nawołuje referent i młodzież galicyjską.

Rozwinęła się obszerna i ciekawa dyskusya. Jeszcze raz mówi o biurokratyzmie owej „zgniliźnie naszego społeczeństwa“ kol. Dąbrowicki uzupełniając niejako referat kol. Odrzywolskiego. Z obcego, najezdniczego, stał się rodzinnym, wewnętrznym, wyplewił wszystko co dobre i dziś widzimy straszny objaw: synowie są gorszymi od ojców swoich.

Kol. Gruszka maturzysta z Jarosławia, przyznaje racyę swoim poprzednim mówcom i prosi o informacye w jakich — by stowarzyszeniach można się najlepiej wykształcić i przygotować do pracy społecznej. Odpowiada mu w części kol. Reich, że udzielenie szczegółowych informacyj byłoby nie na miejscu; w społeczeństwie jednak widzi się 2 warstwy: posiadających i wydziedziczonych, a równorzędnie z temi idą dwa główne kierunki stronnictw politycznych: czarnej reakcyi chcącej zatrzymać przywileje kastowe i wszechstronnego postępu, prawdziwej młodości życia. Niech więc młodzież idzie tam, gdzie jej każe sumienie i rozum. Nie dajcie się — kończy z uczuciem — złowić rybakom w mętnej wodzie, lecz wzniosłym orłom górnie szybującym w czystem przeźroczu.

Przerwał mu kol. Wyrostek, gdy zaczął mówić o partyach, by nie dać powodu pismom klerykalno-stańczykowskim do napaści, jakoby aranżerowie wiecu chcieli słuchaczy kaptować na członków jakichś partyj. Z tego samego powodu, nie chce też udzielić informacyj kol. Gruszce, radząc mu załatwić to prywatnie.

Dosadnie kreśli kol. Klinger obraz Gal. istnego król. fałszu i obłudy. Sądzi jednak, że młodzież w czasie studyów uniwersyteckich nie powinna się mieszać do życia publicznego. Kol. Pruszkowski konstatuje sprzeczność: Galicya z jednej strony ma być krajem wyjątkowo upośledzonym a z drugiej strony kol. Klinger namawia by wśród ogólnej apatyi i młodzież siedziała z założonemi rękami wobec okropnego stanu i przez szereg lat trzymała na wodzy swe uczucia, gwałtem ją prące do życia publicznego i poprawy doli narodu, póki tych uczuć do reszty nie wymrozi. Popiera to twierdzenie kol. Reich w dłuższem gorącem przemówieniu. Kol. Menkes maturzysta idzie dalej: radzi pielęgnować i zachowywać młodość. (Głos ze zgromadzenia: „kosmetyki“) rzucić różową zasłonę na nędzę i walki społeczne, na niedolę narodu, bo świadomość o tem wszystkiem nas unieszczęśliwia.

Powinniśmy być głusi i ślepi na cudze cierpienia. Towarzystwa powinny tylko rozwijać indywidualizm, bo inne uprawiają wzajemną adoracyę lepiej utalentowanych.

Gdy w dalszym ciągu wśród śmiechu słuchaczy zaczął wyciągać szczegóły z życia kol. Klingera, przerwał mu bardzo dowcipnie kol. Wyrostek, by choć ten jedyny raz w życiu oszczędził i był względny na cierpienia otoczenia, które się nuży opowiadaniem spraw czysto osobistych. Ciętą odprawę dali koledzy: Pruszkowski i Dawid, dowodząc całego szeregu sprzeczności w przemówieniu kolegi Menkesa.

Wzajemną adoracyę uprawiają właśnie takie „indywidualistyczne“ towarzystwa: w jakim celu jednak wielki „indy-

widualista“ kol. Menkes usiluje przekonać innych? po co urządzać wiec matrzystów, jeśli nas kwestye na nim poruszone nic obchodzić nie powinny? Lecz my inaczej niż kol. Menkes rozumiemy młodość. Dla nas bój o wolność i sprawiedliwość, o szczęście narodu i dobro ludu, są wiosną życia naszego, naszem usiłowaniem jest właśnie zerwać ową różową zasłonę z oczu zaślepionych i pchnąć całe zastępy młodzieży do zrzeczenia się egoistycznych celów i walki o święte prawa narodu i ludzkości!

W tym tonie przemówił i kol. Wł. Kobak, maturzysta z Tarnopola, wskazując prawdę, jako ideał wszystkiego.

Resztę dyskusyi wypełniala polemika kol. Mełenia, który mówił po rusińsku, z kol. Wyrostkiem i kol. Pruszkowskim, którzy wręcz zdaniu pierwszego dowodzili potrzeby rzucenia się zdolniejszych i uczciwszych jednostek w wir życia publicznego i nie hamowania uczuć altruistycznych przez zimne śledzenie życia w charakterze biernego widza; zresztą nawet samo kształcenie się wymaga bliższego wglądnięcia w życie praktyczne, nie tylko książki czytanej przy zielonym stoliku. Zakończył wiec ognistą przemową kol. Wyrostek, reasumując jeszcze raz cały tok obrad.

Po zamknięciu odbyla się składka na „Uniwersytet ludowy im. Ad. Mickiewicza“, na wniosek kol. Mączewskiego. Spora garść zgromadzonych udała się następnie na komers, gdzie przemawiali koledzy: Galica, Wyrostek, Gruszka, Pruszkowski, wznosząc różne toasty np. na cześć przybyłych z prowincyi gości-maturzystów.

Jak na ogromną ilość maturzystów nielicznym był ich udział, co świadczy o wielkiej umysłowej apatyi wśród naszej młodzieży. Już jednak od przeszłego roku znać duży postęp: maturzyści przybyli w parokrotnie większej liczbie niż na pierwszy wiec i stanowili ogromną większość zebranych. Powoli przebojem zdobywa sobie ten pomysł prawo zwyczaju prawo nieodzownej potrzeby. Dlatego mimo smutnego stanu rzeczy, nabieramy otuchy na przyszłość, widząc w życiu młodzieży stanowczy zwrot na lepsze.

Naturalnie nie obyło się bez czułej opieki policyi, która w liczbie dwudziestu kilku „czuwała“ nad porządkiem społecznym.

Od Redakcyi.

Odpowiedzi z braku miejsca odkładamy. Numer następny wyjdzie w zwiększonym formacie we wrześniu.

Wszelkie wysyłki w czasie wakacyjnym prosimy adresować: Leon Weinfeld, Lwów, ul. Chrzanowskiej l. 6.

Pokwitowania.

Otrzymaliśmy na „Promień“.

Od kol. A. Z.	4 K.
Z powiatu nowogrodzkiego za pośrednictwem ob. J. R.	8 rs.
Od kol. W.	2 zł. 50 ct.
Składka na komersie postępowej młodzieży krakowskiej	12 zł. 50 ct.
„Simplicitas“ z Warszawy	4 rs.
Za „Promień“	8 rs. 90 kop.
Kol. I. A.	2 kor.

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Herbert Spencer. — Po uroczystościach krakowskich. — Ludzie nowi w powieści polskiej. — My. — Pobudka. — Ostatni. — Ibsen w rozwoju dramatu (dok.) — Nieco o „modernizmie“ — Samouctwo ekonomiczne. — Korespondencye. — Step. — Bibliografia. — Dyalogi warszawskie. — Wiec maturzystów. — Od Redakcyi. Pokwitowania.

Wydawca: **Władysław Wolski** Odpow. redaktor **Aleksander Wieleżyński**

Z Drukarni Udziałowej, Lwów, Lindego 8.